

NAJWIĘKSZY KONKURS SEZONU

Główna nagroda: MIESZKANIE

JEŚLI CHCESZ WIEDZIEĆ WSZYSTKO
O SPRAWACH MIESZKANIOWYCH ŁODZI

- KOMU PRZYSŁUGUJE NOWE
- CZY WARTO OSZCZĘDZAĆ NA
- JAK WSTĄPIĆ DO SPÓŁDZIELNI
KTÓRA ZAPEWNI CI —

MIESZKANIE

— CZYTAJ NASTĘPNE NUMERY

„ODGŁOSÓW”

NASZĄ AKCJĘ INFORMACYJNĄ UZUPEŁNI
WIELKI KONKURS

Główna nagroda:

MIESZKANIE!

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. ŁÓDŹ, dn. 23 listopada 1958 r.



Barbara Kwiatkowska w filmie „Żołnierz królowej Madagaskaru” (patrz str. 12)

LESZEK WITCZAK

O MŁODYCH MAŁŻEŃSTWACH dziurawej parasolce i mieszkaniowych kłopotach

Był koniec marca, wieczór i na dodatek mżył drobny, dokuczliwy deszczyk.

Szedłem za jakimś interesami na Polesie i skrótłem sobie drogę przez park. Na którejś z ławek zobaczyłem dwie przytulone postaci. Dwie pary nóg; jedna w cielistych pończoszach i trumniakach, druga w farmerkach i narciarskich butach odcinały się od rozciapanej deszczem alei. Głowy ukryte były pod parasolką, która miała wydartą w środku wielką dziurę.

Ukloniłem się z głupiafrant:

— Przepraszam, ale chciałbym przypomnieć, że do maja jeszcze spory kawałek... A i bocian nie przyleci, za wcześnie.

Nie nie odpowiedzieli. Ja zaś miałem uciechę na cały wieczór. A to dopiero ekstrawagancka parka!

Już znacznie później powiedział mi ktoś, że było to prawdopodobnie znane mu młode małżeństwo mieszkające kątem, ona na Polesiu, a on nawet dobrze nie wiadomo gdzie.

Przypomniało mi się to za-

bawne zdarzenie podczas wizyty u kierownika Wydziału Kwaterunkowego Łódź — Śródmieście, p. T. Stawińskiego. Pan Stawiński mówił tak:

— Przychodzą do mnie ludzie wypowiadać się jak do księdza, wyplakać jak do rodzonyj matki, nawymyślać na wszystkie teściowe, złych sąsiadów, budownictwo miejskie, a nawet ministrów, gdyż zawsze jestem pod ręką. Barwny żywot! A jak go jeszcze urozmaicają młode parki, które wprost z Urzędu Stanu Cywilnego wędrują do mnie po mieszkania. Kiedy im się powie, że nie ma, to w krzyk: „Po cośmy się żenił, żeby oddzielnie mieszkać? Po parkach i skwerkach się kochać?” I grożą, że jeszcze trochę, a przyniosą dziecko...

Kierownik mówił, a na korytarzu kilkadziesiąt kobiecych, męskich i dziecięcych głosów mieszało się jak w Wieży Babel. Im więcej ludzi przybywało, tym głośniej się niecierpliwił. Bowiem napisane jest na ścianach i drzwiach urzędu, że w czwartki kierownik przyjmuje interesantów. Oto ewangelia na dzień dzisiejszy dla 160 zapísanych w kolejce osób.

Pan Stawiński kładzie przede mną arkusz kancelaryjnego papieru od góry do dołu upstrzony nazwiskami.

— Kiedyś pierwszy człowiek, który przychodził do kwaterunku (najczęściej wieczorem), robił listę, wpisywał następujących i tak czekali ludzie całą noc, by rano, a czasem i o zmierzchu dostać się do kierownika. Jeżeli noc była ciepła, bractwo wylegało na pobliski skwerek (róg Zachodniej i Zielonej), pojadło sobie, pogrywało w karty, popijało dla zabicia czasu. Niekiedy rano okazywało się, że są dwie lub trzy listy, dopiero było piekielko... Teraz w przeddzień przyjęć zostawiam strażnikowi listę, ludzie czekają na zmianę, nie ma słynnych, całonocnych kolejek.

Kierownik spogląda na zegarek: — Dziewiąta, zaczniemy przyjmować.

Rozsiadam się za biurkiem z notesem w rękę.

Kierownik otwiera drzwi z klucza. Kilkanaście głów uśiłuje zajrzeć do środka. Wchodzi petentka z kilkumiesięcznym dzieckiem w chustce.

— Co będzie ze mną, pa-

nie kierownika? Jak długo można się tak męczyć? Teściule „Idą pod rozbiórke”, dostają nowe mieszkania, ja do nich nie pójdę, nie pójdę — zaczyna lkać — już mi zagrozili. Boję się teraz do roboty iść, bo oni mogą dziecku krzywdę zrobić...

— Niechże się pani opanuje, kobieto. Ja panią rozumiem, a dlaczego pani mnie nie chce zrozumieć? Jest pani u nas „w pierwszej kolejności”, jak tylko będę miał mieszkanie, sam się do pani zgłoszę. Niepotrzebnie pani w każdy czwartek przychodzi. Musi pani na razie przeprosić się z teściami (to też przecież ludzie) i czekać...

— Jak czekać, panie kierowniku, to tu. Nie wyjdę stąd, nie wyjdę, nie wyjdę, donóki nie da mi pan mieszkania. (W dalszym ciągu płacze).

Kierownik, niemłody już mężczyzna o przeredzo-

nej czarnej czuprynie, opiera głowę na rękach i zastanawia się przez chwilę:

— Nie wyjdzie pani... Potem energicznie wstaje i podsuwa kobiecie krzeselko.

— Trudno, niech pani siedzi. Jeśli tak chce, jest już przedstawiciel prasy, będzie i „czynnik społeczny”.

Wchodzi następny petent w długim jak sutanna prochowcu. Kładzie na stole plik papierków i przybija je rękami.

— Co się dowiem od pana kierownika?

— Nie się nie zmieniło, panie Zieliński, nie mam mieszkania. Dostaję tylko na rozbiórki, na poprawę warunków może coś będzie w końcu roku.

— U pana zawsze jedna śpiewka, piąty rok mija, papierków tyle, że pierzynę mo-

(Dalszy ciąg na str. 9)

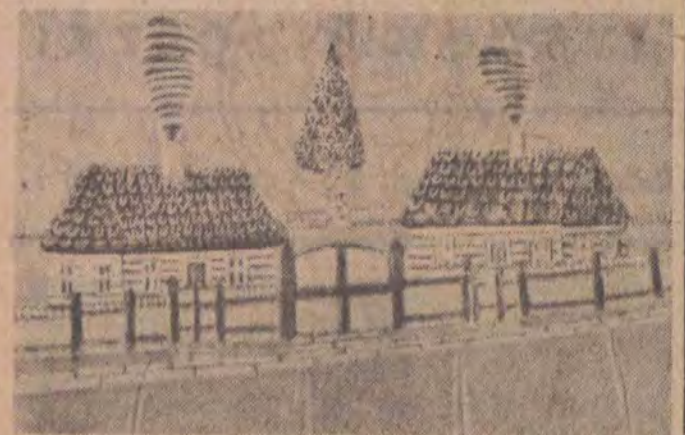
ANDRZEJ WASILKOWSKI



„KAM- CZATKA” WOJEWÓDZTWA

„PRZYJECHAŁ PAN DO KAMCZATKI WOJEWÓDZTWA” — OSWIADCZYŁA NA WSTĘPIE PEWNA WPŁYWOWA OSOBISTOŚĆ NIE BEZ ODCIENIA GORYCZY. JEDNOCZEŚNIE MÓJ ROZMÓWCA PILNIE BACZYŁ, CZY DRAMATYCZNA DEKLARACJA WYWARŁA NA DZIENNIKARZU ODPOWIEDNIE WRĄZENIE. POCHWALEM ORYGINALNOŚĆ MYŚLI, PROSZAC JEDNAK O JAKIEŚ SZCZEGÓŁY, TAK ZRODZIŁ SIĘ WŁASNE REPORTAŻ.

(Dalszy ciąg na str. 9)



Zygmunt Zagańczyk

Pejzaż z domkiem

„Czy będziemy dziś tańczyli?” — rozmyślają wyśrojonie i dobrze odżywione dziewczęta, nie mając widocznie większego zmartwienia.

„Czy będziemy dziś jańczyli?” — rozpaczają wynędzniałe kobiety, być może żony i córki wyrzucanych z pracy robotników.

W szlachetnej intencji przedstawienia problemu społecznego, uwidocznienia źródła groźnego konfliktu klasowego, dwie takie scenki — opatrzone odpowiednimi podpisami — narysował poczciwy i naiwny Kostrzewski, słynny w końcu dziewiętnastego wieku ilustrator tygodników, karykaturzysta i kronikarz obyczajów warszawskich.

Każdy z tych rysunków, wzięty z osobna i bez podpisu, nie ma znaczenia, dopiero zestawione razem nabierają jakiejś wymowy. Wymowy zresztą mizernej dla nas, którzy widzieliśmy znacznie silniejsze kontrasty.

Artysta współczesny posługuje się w podobnym przypadku techniką fotomontażu. Na fotografię, na rysunek, z przenikania filmowego dwa obrazy połączył w jeden: pokaże dzieci zamożnych mieszczuchów grymaszące przy suto zastawionym stole, a tuż obok grzebiące w śmietniku, poszukujące resztek pożywienia dzieci bezrobotnych. Takie ujęcie problemu musi podziałać na każdego, tego nie można skwitować obójnym uśmiechem.

Podobny temat można rozwiązać po malarzku, na płótnie. Otrzymamy obraz o tematyce społecznej, bardzo może cenny z tego punktu

widzenia. Zastanówmy się jednak, czy obraz taki, namalowany przez artystę, będzie dziełem sztuki. Niekoniecznie. Zresztą w samych zamiarach twórcy nie leży stworzenie dzieła sztuki, lecz rozwiązanie pewnego zadania pozartystycznego. Nie musimy więc dbać o ładne zestawienie kolorów, o abstrakcyjne piękno linii, o ekspresyjne działanie formy. Wystarczy, jeżeli sam dobór motywów przemawia i angażuje widza.

Technikę fotomontażu — wynalezioną zresztą już wcześniej — wprowadził do sztuki nadrealizm. Częściej wołał dla zobrazowania konfliktów społecznych, głównie jednak dla wyrażenia własnego poglądu na świat, a w szczególności pragnąc zademonstrować w jaki sposób działa mechanizm myśli ludzkiej.

Nie wszyscy może znają dziecinna grę w skojarzenia słowne. Ze słowem „pies” — w zależności od zapamiętanych, ale nie zawsze uświadomionych sobie doświadczeń — mogą nam się kojarzyć najrozmaitsze pojęcia: kot, kundel, buda, łańcuch, zęby, kości. Przy owej grze w słowa, kiedy bez namysłu trzeba odpowiedzieć na wywołane hasło, powstaje ciekawy wyrazów nieraz bardzo dziwaczny. Śnieg, biały, mleczny, broda, dziadek, św. Mikołaj, zabawka, samochód, wyścigi, pęd, lecieć, skrzydła, Ikar. Tak można ciągnąć w nieskończoność automatyczny łańcuch skojarzeń, nie też łatwiejszego dla malarza, jak wszystko to przedstawić na płótnie.

I ten oto automatyzm myśli ludzkiej wykorzystali w malarstwie nadrealiści.

O MŁODYCH MAŁŻEŃSTWACH DZIURAWEJ PARASOLCE I MIESZKANIOWYCH KŁOPOTACH

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

zna wypchać, a ja gniję z trojgiem małych dzieci w tej dziurze. Jak deszcz pada, to ciurkiem po ścianach leci. Do tego ojciec alkoholik. Człowiek w robocie ciągle myśli, czy ta rudera się jeszcze nie zawaliła, albo zidociały od wódki stary dzielnik nie zatłuki. To tak babacie o robotnika. Cieżko pracuję, panie kierowniku, przy kwasach, chciałbym w domu odpocząć trochę. Inny ukradnie to mu w więzieniu celę wyszukują, że gdzie tam do mojego mieszkania, a ja — czekam...

— Zaraz, panie Zieliński, wychodzi na to, że obaj na jedno czekamy, pan na mieszkanie dla swojej rodziny, ja — na mieszkania dla kilkuset rodzin, które, wierz mi pan, w nielepszej są sytuacji.

Kierownik otwiera gruby zeszyt. — Jaka to ulica?.. Już mam, przecież ja sam u pana byłem. 28 m² — 7 osób, mamy mieszkania bardziej zagęszczone. Będę wobec pana uczefiwy, w tym roku nie dostanie pan mieszkania, ale na początku przyszłego roku, gdy będą przydziały, nie zapomnia o panu.

W notecie moim wykwiła teraz naszkicowana ołówkiem figurka małej, chudej kobiety o nastroszonych na czubku głowy włosach. Penetka nr 3.

W gabinecie czekali już następni interesanci, dwa młode małżeństwa. Czekala także kobieta z dzieckiem. Przeszła płakać, że krzychało wniebogłosy dziecko.

Małżeństwa zaczęły swoje żale:

— Kiedy nas pan wyprowadzi z tej rudery, dzieci niedługo przyjdą na świat, a tu zimno jak w lodowni, dziury w ścianach, okien domknąć nie można, podłoga się zarywa, wypada tylko sznur na szyję; przynajmniej nasze dzieci by się nie męczyły...

— Żal mi was, moi drodzy, ale cóż ja wam poradzę. Posłuchajcie: mam 342 rodziny, którym należałoby natychmiast dać mieszkania. A wiecie ile mam mieszkań na cały rok? Niewiele ponad 100 (258 izb z nowego budownictwa plus kilkanaście starych). Z tego lwią część dla „rozbiorców”. Na poprawę warunków zostaje około 30 mieszkań. A nie do-

stałem jeszcze całego przydziału i nie wiem czy w tym roku dostanę. Poradźcie mi więc wy, co mam robić. Czym jest moje współczucie dla was i najszerzej chęć wobec logiki, czy może nonsensu tych cyfr.

Za biurkiem siada nowa penetka. Płacząca kobieta w czerni.

— Gnieźdźmy się na 10 m². Maż ma otwartą gruźlicę, dziecko początki gruźlicy. Spimy na jednym tapczanie, bo nie więcej w mieszkaniu się nie mieści. Chyba dla r.a.s. panie kierowniku, powinno się coś znaleźć.

— Będzie pani musiała jeszcze poczekać, może przy końcu roku...

— Czwarły rok czekam, w gazetach piszą, a to 15, a to 20 tysięcy izb wybudowano... Komu się daje te mieszkania?

— Proszę podzielić te kilkanaście tysięcy izb przez wszystkie kwatunki, wziąć pod uwagę dziesiątki rozbiętych rud, napływ repatriantów, a przekonana się pani, jak to niewiele.

Kobieta zanosząc się od placzu wychodzi. Nie wygląda na przekonaną.

Okolo południa kierownik proponuje zrobienie krótkiej przerwy. Wychodząc z gabinetu widzę, że kobieta z dzieckiem jeszcze czeka.

Mam chwilę czasu na wpisanie do notosu uwag.

UWAGA DOWCIPNA:

Wszystko, co tu widzę przypomina mi trochę zabawę w chowanego, ewentualnie spektakl zbiorowego czekania na Godota. 160 osób przychodzi co chwila do kierownika, wystaje kilka godzin na korytarzu, wiedząc z doświadczenia praktyki, że i tak nie załatwi, i odchodzi z mocnym postanowieniem: w następny chwilek tak samo przyjdzie, a nuż...

— Jak się w każdy chwilek wypłacze u pana kierownika, to jakos mi lżej na sercu — mówi pewna starsza kobieta. Większość penentów to już dobrzy znajomi kierownika.

UWAGA ZASTANAWIAJĄCA:

Bywalcy Wydziału Kwaterunkowego to przeważnie lu-

dzie pracujący, którzy na te wizyty zwalniają się z zakładów pracy. 160 osób x 8 godzin daje 1280 roboczogodzin. Tyle m. w. tracą łódzkie zakłady pracy na zwolnienia do jednego tylko kwatunku Łódź — Śródmieście, Wliczając pozostałe kwatunki suma ta wyniesie nie mniej niż 4.000 roboczogodzin tygodniowo. A rocznie? Niebanalna suma 200.000 roboczogodzin. Dla zabawy możecie sobie rozwiązać takie zadanie: czy zakładom pracy lepiej kalkuluje się stracić setki tysięcy roboczogodzin na zwolnienia do kwatunku, czy zacząć dla swych pracowników budować mieszkania.

UWAGA NIEMAL FILOZOFICZNA:

Lat temu sto albo dwieście, gdyby człowiek miał tracić tyle roboczogodzin, wolalby sam do boru pójść, drzew naciąć, a solidny domek jednorodzinny z pomocą Boga wyżytkować. A dziś? Zarząd Miejski drzewa, ani placu mu nie da, a j pomoc Boga jest wątpliwa, za dużo ateistów.

Po piętnastu minutach zaszliśmy znowu za biurkiem. Kobieta z dzieckiem jeszcze czeka (karmi właśnie dziecko z flaszki).

Znow przez mój notes przewijają się kolejno:

Płaczące młode kobiety, płaczące stare kobiety, płaczące dzieci, płaczące mężatki, płaczące wdowy, płaczące rozwódki... Ściany gabinetu kierownika zaczynają się zmieniać w ściany placzu.

Parę minut po godz. 15 kobieta z dzieckiem nie wytrzyma i wychodzi trzaskając drzwiami.

Ja tymczasem czuję, że zaczynam tępić i tracić wrażliwość na wszystko, co się wokół mnie dzieje.

Jeszcze jakiś starszy mężczyzna (już trzy tygodnie nie byłem, panie kierowniku) opowiada, jaką to ma dziurę w dachu i jak mu przez nią koty do mieszkania wchodzi.

— Czy to ładnie — mówi p. Stawiński — przychodzi do kierownika kwaterunku, by panu dziurę w dachu załatwić. Dlaczego MZBM-u za głowę panu nie weźmie?

— Proszę pana, kto dziś ma siłę i zdrowia tyle by na ZBM-ie coś wymóc?

Potem młoda mężatka skarży się (oczywiście płacząc), że mieszka na strychu w maleńkiej klitce, a ma bardzo zdolną córeczkę, którą by chciała uczyć — na fortepianie...

Kierownik spogląda do zeszytu:

— Proszę pani, komisja zakwalifikowała panią do III kolejności. Nie chcę pani zwozić, ma pani szanse na otrzymanie mieszkania... po pięciu, sześciu latach.

Na samym końcu wchodzi młoda smutna parka. Dziewczyna nie płacze, tylko patrzy z rezygnacją na kierownika. Chłopiec nie kolorując zbyt opowiada, jak główny lokator, pijak i awanturnik wyrzucił ich na ulicę, bo przeszkadzał mu w urządzaniu libacji. Spią w stodole pod Zgierzem u znajomego chłopca.

Odmowę przyjmują mężnie, odchodzą...

— „Gdzie oni właściwie pójdą — myślę.

— Do tej stodoly pod Zgierzem.

Znow przypomina mi się tamto małżeństwo, siedzące w marcowy wieczór w parku pod parasolką. Z czego ja się właściwie wtedy śmiałem?

Gdy opuszczam gmach kwaterunku jest już wieczór.

— Panie kierowniku — pytam przy pożegnaniu — ile mieszkań potrzebuje pan, by całkowicie pokryć zapotrzebowanie pańskiego rejonu.

Pan Stawiński uśmiecha się smutnie:

— Niedużo... 3.000 izb dla 1629 rodzin. W bieżącym roku miałem na poprawę warunków tylko 18 mieszkań.

— Dobranoc. Proszę was bardzo, przyjdźcie jeszcze kiedyś do nas, zawsze chętnie widzimy prasę.

Rozstaliśmy się.

A ja z tej wizyty w kwaterunku wyniosłem diabelski młyn w głowie, łamanie w kościach jak po cieżkiej orce i jedną humanistyczną naukę dla siebie: nie wyśmiewać się nigdy z szukających odosobnienia parok, choćby ich dachem nad głową i niebem miłości była w dżdżysty wieczór dziurawa parasolka.

LESZEK WITCZAK

Swojego rodzaju sensację międzynarodową wywołały słowa Chrusczonego wygłoszone na pożegnalnym wiece z okazji pobytu polskiej delegacji w Związku Radzieckim, a poświęcone sprawom Berlina. N. S. Chrusczonev — jak wiadomo — zażądał od mocarstw zachodnich, by te wycofały z Berlina swe wojska okupacyjne, a wówczas Związek Radziecki uczyni to samo. Po zlikwidowaniu statusu okupacyjnego wobec Berlina cały Berlin stałby się stolicą Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Repekacja Zachodu była błyskawiczna. Rzecznik Departamentu Stanu, nie podejmując żadnej merytorycznej dyskusji z tezami wysuniętymi przez Chrusczoneva, oświadczył, że Zachód nie zgodzi się na żadną rewizję statusu Berlina i gotów jest uciec się nawet do ostatecznych środków, by status został utrzymany. Prasa Zachodu podjęła niezwykle

krzykliwą kampanię mającą wykazać, że Związek Radziecki uczynił zwrot w kierunku „zimnej wojny”. Berlin stał się problemem międzynarodowym nr 1 na firmamencie politycznym dzisiejszego świata.

Wydaje się, że szczególnie Berlin należy do tych problemów międzynarodowych, który rozpatrywać należy z maksymalnym spokojem i rozsądkiem, w powiązaniu z całością problemu niemieckiego i układem stosunków na arenie międzynarodowej.

Problemu Berlina, nie można odrywać od całości zagadnienia niemieckiego dlatego m. in. iż czteromocarstwowy status Berlina jest tylko częścią układów poczdamskich, które usankcjonowały podział Niemiec na cztery strefy okupacyjne. Cel uchwał poczdamskich był jeden — uczynić z Niemiec państwo pokojowe i demokratyczne. Cel został zaprzeczony w chwili, kiedy na obszarze trzech stref okupacyjnych mo-

JACEK LEBEN

BERLIN

carstw zachodnich powstała Niemiecka Republika Federalna, a tu w zimno-wojenną rozgrywkę przeciwko krajom socjalistycznym. A tuł oraz mocniejszy pod względem politycznym, ekonomicznym i militarnym. Państwo to dziś, w roku 1958, posiada silną armię, którą zamierza w najbliższym czasie uzbroić w broń atomową. Ta właśnie atomowa armia obok ekonomicznej potęgi ma stanowić argument w konsekwentnie antyradzieckiej i antypolskiej polityce. Rewizjonizm w stosunku do polskich granic zachodnich i słabo maskowana żądza odwetu, to nie — jak się niektórym wydaje — jedynie działania różnych ziomkostw i militarystycznych organizacji, to oficjalna polityka rządu

Niemieckiej Republiki Federalnej.

W tej sytuacji, kiedy to Zachód zaprzepścił całą i niewygodną dla siebie część uchwał poczdamskich, mocarstwa Zachodu nie mają moralnego prawa, by żądać respektowania czteromocarstwowego statusu Berlina. W dzisiejszej bowiem sytuacji okupowany przez cztery mocarstwa Berlin jest potworkiem, całkowicie sztucznym tworem, w ciele Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

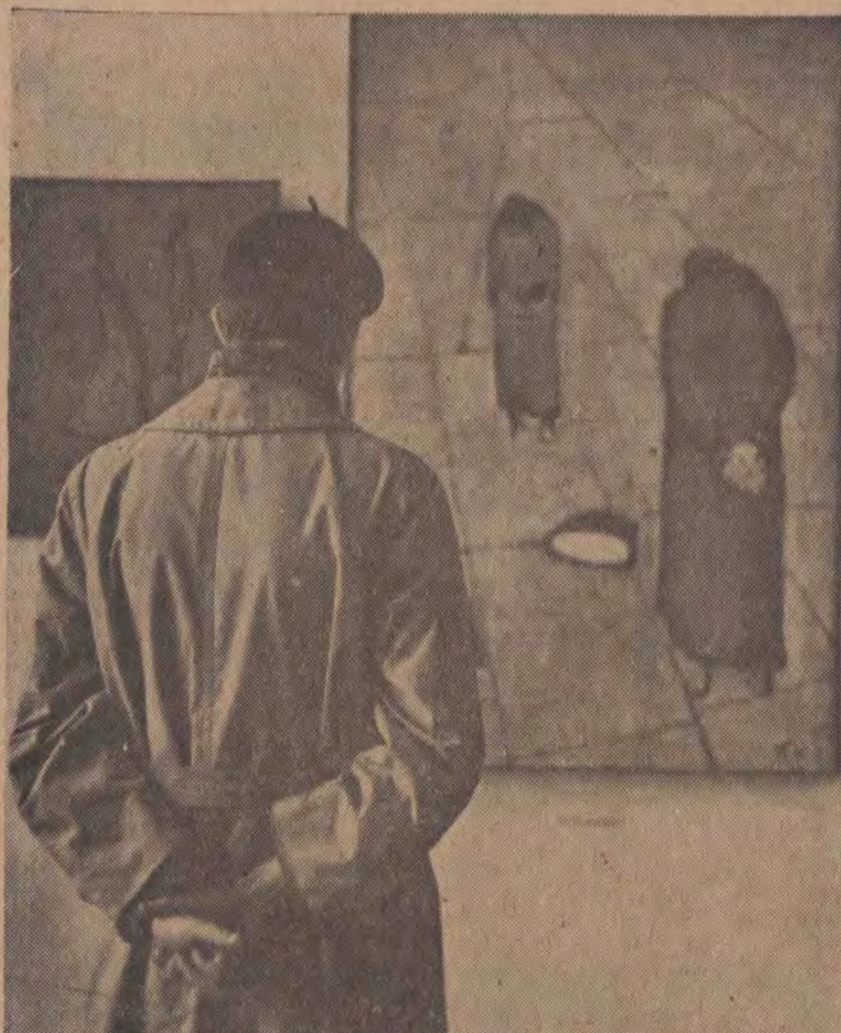
Polityka to wielki przetarg. W tym przetargu mocarstwa Zachodu wykorzystują pełnię swych niemieckich atutów. Dlaczego więc kraje socjalistyczne nie mają prawa w obronie przed ponownym zagrożeniem przez niemiecki militarizm

wykorzystać te atuty, które posiadają? Leżący na terytorium NRD — suwerennego państwa niemieckiego — Berlin jest jednym z tych atutów. Przekazując swe uprawnienia okupacyjne w Berlinie Niemieckiej Republice Demokratycznej, Związek Radziecki może zmusić mocarstwa Zachodu do „zobaczenia” Niemieckiej Republiki Demokratycznej, do przekonania się, że obok NRF istnieje drugie państwo niemieckie, bez uznania którego nie można rozwiązać problemu niemieckiego. Związek Radziecki być może próbuje skłonić mocarstwa zachodnie do dyskusji nad całością problemu niemieckiego. Bardzo charakterystyczna jest wypowiedź premiera NRD Grotewohla, który stwierdził na konferencji prasowej, że „w grę wchodzi nie tyle sprawa Berlina, co raczej kluczowe zagadnienie pokoju i porozumienia między Niemcami. Przerwanie komunikacji między Berlinem a zachod-

nim Niemcami na przełomie 1948—49 roku, co było odpowiedzią na zachodnią politykę wobec Niemiec, powstało wówczas świat na krawędzi zimnej wojny. Dziś sytuacja wydaje się być mniej groźną i raczej nie należy sądzić, by obie strony zdecydowały się na przedjęcie jakichś ostatecznych kroków. Problem Berlina, to problem przede wszystkim polityczny a nie „gorący”.

WSZYSTKIM PRACOWNIKOM OŚWIATY Z OKAZJI DNIA NAUCZYCIELA SKŁADAMY NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA POMYŚLNOŚCI W ŻYCIU OSOBISTYM I W PRACY ZAWODOWEJ.

XIII WYSTAWA



Czekam na wygraną w tolka, by kupić jeden z tych wspaniałych obrazów...



Sztuka współczesna naprawdę zmusza człowieka do myślenia!



Więcej aktów!



Plastycy powinni koniecznie wyjaśniać zwiedzającym o co im chodzi!

CZY BYLESZ JUŻ, CZYTELNIKU, NA XIII OKRĘGOWEJ WYSTAWIE PRAC ARTYSTÓW PŁASTYKÓW? JEŚLI TAK, JAKICH DOZNAŁEŚ WRAŻEŃ?

CZY WPISAŁEŚ SIĘ DO KSIĘGI PAMIĄTKOWEJ WYSTAWY?

Nasz wysłannik odwiedził wystawę w zwykłe robocze przedpołudnie i stwierdził co następuje:

NA WYSTAWIE PANUJE DUCH KOEGZYSTENCJI DZIEŁA O RÓŻNYM STYLU, ZACZYNAJĄC OD AKADEMICKO-REALISTYCZNYCH A KONCZĄC NA ZDECYDOWANIE ABSTRAKCYJNYCH WISZA OBOK SIEBIE W SPOKOJU I „MIŁOŚCI BLIŹNIEGO”. CZY NAPRAWDĘ TAK SIĘ KLÓCĄ JAK O TYM OPOWIADAJĄ PRZY PÓŁCZARNEJ ZNAWCY? JEŚLI TAK, ROBIA TO DUŻO DYSKRETNIEJ NIŻ ICH TWORCY.

TO NIEPRAWDA, ŻE W ŁODZI ZUPEŁNIE BRAK ZAINTERESOWANIA PŁASTYKA. W CIĄGU GODZINY PRZEWIŃEŁO SIĘ PRZEZ SALE WYSTAWOWĄ KILKANASIE OSÓB, W TYM WIEKSZOSC MŁODZIEŻY. TYCH LUDZI NA PEWNO MALARSTWO SZCZERZE INTERESUJE. A WIĘC NIE JEST AŻ TAK ZŁE...

Nasz wysłannik zrobił parę zdjęć i wypisał z pamiętkowej książki parę uwag. Umieściliśmy je pod zdjęciami. Takie są opinie ludzi o współczesnej sztuce. Może wśród nich znajdziesz, Czytelniku i swoją uwagę? Jeśli nie, śpiesz do Parku Sienkiewicza, obejrzyj wystawę i koniecznie wpisz się do książki pamiętkowej. Będzie to dowód, że jesteś człowiekiem nowoczesnym. Ze interesujesz się sztuką. I że Łódź nie jest „pusznią kulturalną”.



Ileż na tej wystawie można się nauczyć...



Nieprawda, że realizm się już przeżył!



Ta pani na tle abstrakcyjnej kompozycji — oto, co na wystawie najbardziej się podobało naszemu wysłannikowi!



Tekst i zdjęcia:
STEFAN MICHAŁOWSKI

odgłosy str. 3



MEGATONA jest miarą siły wybuchu bomb atomowych i wodorowych i równa się sile wybuchu miliona ton trinitrotoluenu (tzw. „TNT”, albo „trotyl”). Trotyl, najsilniejszy z klasycznych środków wybuchowych wypełniał na ogół bomby lotnicze i pociski artyleryjskie w proporcji 25-40 proc. ich wagi. Tak więc 1-tonowa bomba lotnicza, przewracająca wybuchem kilka wielopiętrowych kamienic zawierała od 250 do 400 kg trotylu. Pierwsza bomba atomowa zrzucona na Hiroszimę miała siłę ok. 0,004 MEGATONY. To jest ok. 4 tysięcy ton trotylu. Współczesne „superbomby H” mogą osiągnąć siłę równą 40 MEGATONOM. Ta nieprawdopodobna wprost siła (40 milionów ton trotylu) mieści w sobie teoretycznie sumę wszystkich wybuchów II wojny światowej! Obecnie atomowi zbrojmistrzowie mają poważny „kłopot”. Okazało się bowiem w trakcie doświadczeń, że w miarę wzrostu siły wybuchowej bomby „H”, większa część energii idzie „na marne”, to znaczy w atmosferę. Ustalono nawet „optimum opłacalności” bomby „H” — 5 do 10 MEGATON.

Te suche relacje przerażających cyfr, jakkolwiek wykracza to poza kompetencje naszej skromnej rubryki, domagają się jednak komentarza. Znaczna ilość ludzi nie zdaje sobie nawet sprawy, jak potworna, nieobliczalna klęska dla ludzkości byłoby użycie tej straszliwej broni. Nasze wspólne wysiłki, zmierzające do przeciwdziałania praktycznym potencjalnym ludobójstwom, to sprawa życia lub zagłady cywilizacji.

BIBLIOTEKAZKA

V KOLUMNY

DWA BLUFFY I MOCNE NERWY

„Graf von Spee”, hitlerowski tak zwany „kleszonkowy pancernik”, doskonale uzbrojony i opancerzony, zwrotny i szybki, już w sierpniu 1939 r. wypływa na południowy Ocean Atlantycki i krąży w pobliżu angielskich i francuskich linii komunikacyjnych. Oprócz znacznego zasobu amunicji, torped i paliwa w składkach swych posiada także spory zapas białego lakieru, a każdy członek załogi oprócz normalnego umundurowania ma jeszcze po dwie zapasowe czapki... na zmianę.

30 września 1939 r. „Graf von Spee” zatapia swą pierwszą ofiarę — brytyjski statek handlowy. Komandor Langsdorff, dowódca korsarza pozwala łaskawie brytyjskiej załodze przejść na neutralny statek. Wkrótce cały świat wie z prasy, że na Atlantyku operuje niemiecki pancernik... „Admiral Scheer”. Takie bowiem imię przyjął „Graf von Spee” na tę operację.

Dalsze zatopienia następują w coraz krótszych odstępach czasu. Korsarz zresztą zmienia obszar działania i dekoracje. Raz nazywa się „Admiral Scheer”, raz „Deutschland”, czasami „wstępuje pod swoją nazwą”. Admiralicja brytyjska wie, że wszystkie te nazwy należą do serii identycznych okrętów serii bojowych przekonana jest, że na Atlantyku operują trzy nieprzyjacielskie pancerniki. Rozprasza ją swe si-

29 października. Trzy eskadry myśliwców i myśliwców bombardujących — 60 maszyn — Mystere IV z baz w Dijon i Saint-Dizier lądują w Izraelu. Lotnicy zostają przyjęci owacją. Tego samego wieczora rozpoczyna się natarcie. Wojska Dajana mogą spokojnie iść naprzód. Ani jedna bomba nie spadnie na ich domy, miasta. Niebo nad ich krajem jest francuskie.

— Jesteśmy pierwszym oddziałem Izraela, który wchodzi do akcji. Skaczymy koło przełęczy Mitla, 50 kilometrów od Suez, ponad 200 kilometrów od granicy. Zaopatrzenie dostajemy z powietrza. Broni pancerna npla nie jest dla nas groźna, w rejonie zrzutu nie może działać — teren nas broni. Nasze zadanie: przeciąć szosę Ismailia — Beersheba...

Tego samego wieczora izraelska kolumna zmotoryzowana po dwudziestominutowej walce przekracza granicę izraelsko-egipską w rejonie posterunku granicznego Kantilla i kieruje się szlakiem karawanowym na zachód, ku spadochroniarzom. Wjeżdża w morze piasku i zostawia w nim o świcie połowę czołgów i trzecią część dział. Nie ma mowy o ich wydobyciu.

Z Eilat tego samego wieczora wyrusza inna kolumna. Zadanie — spotkać się z pierwszą w rejonie przełęczy Thamad i wspólnie połączyć się ze spadochroniarzami. Natyka się na pola minowe, dostaje ogień z dział bezodrzutowych. Czołgi i moździerze łamią opór — Egipcjanie tracą 60 zabitych. Ale i Izraelczycy ponoszą ciężkie straty. Pojawiają się cztery egipskie Vampire, ostrzeliwują kolumnę z karabinów maszynowych.

Dopiero po 30 godzinach sztab egipski kieruje do przełęczy Mitla pułk piechoty i wydaje rozkaz zaatakowania spadochroniarzy izraelskich z powietrza.

Tę samą noc francuska kompania zaopatrzenia stacjonowana na lotnisku Tymbou na Cyprze zrzuca spadochroniarzom izraelskim żywność, wodę, benzynę, amunicję, jeepy wyposażone w bezodrzutowe działa przeciwpancerne. Również następną noc kompania nie zagna snu.

31 października. Obie izraelskie kolumny zmotoryzowane połączyły się ze spadochroniarzami i znajdują się przed przełęczą Mitla. Droga jest kręta.

ty uporeczywie poszukuje ich na rozległych wodach oceanu.

Tymczasem przechodzi dzień 7 grudnia 1939 roku i korsarz zatapia bezkarnie już dziewiątą z kolei ofiarę. Rejestr zatopionego tonażu w przeciągu niespełna trzech miesięcy przekracza 50.000 BRT!

Ale oto 12 grudnia korsarz zostaje odkryty przez eskadrę brytyjskich okrętów. Od pierwszej chwili trzy angielskie krążowniki znajdują się praktycznie na straconej pozycji, ponieważ siła ognia i opancerzeniem znacznie ustępują potężnemu korsarzowi. Jednak umiętnym prowadzeniem walki, pomimo ogromnych strat własnych zmuszają „Graf von Spee” do ukrycia się w neutralnym urugwajskim porcie Montevideo. W tym momencie ujawnia się, że wszystkie działania korsarskie prowadził

EDWARD CASTEL

WOJNA O SUEZ (VI)

FRANCUSKIE NIEBO NAD IZRAELEM • SPADOCHRONOWO-PANCERNY „BLITZKRIEG”

Długi sznur pojazdów wspina się powoli pod górę.

Spadochroniarze już byli w ogniu. Zostali zaatakowani przez lotnictwo egipskie — odrzutowce Vampire. Pojawili się izraelskie Mysteres i wywiązała się zaciekła walka powietrzna. Zjawiają się dalsze samoloty i ostrzeliwują kolumnę z karabinów maszynowych.

Naraz odzywają się i inne karabiny maszynowe. I działa przeciwpancerne. Ogień krzyżowy. To pułk egipski, który obsadził przełęcz, przygotował Izraelczikom pułapkę. Mają stanowiska po obu stronach drogi, w jaskiniach. Kolumna zatrzymuje się. Egipskie myśliwce szpikują ją oliwami. Próba oskrzydlenia Egipcjan nie udaje się — pod ogniem myśliwców natarcie się załamuje. Samoloty izraelskie są w tym terenie bezsilne — dla nich celem jest nie zwarta kolumna na drodze, ale pojedynczy, dobrze ukryci strzelcy. I bomby niewiele tu mogą zrobić.

Ale zapada zmrok. Samoloty egipskie zawracają do bazy. O trzeciej rano Izraelczycy ruszają do natarcia na granaty i noże. Przez dwie godziny trwa zaciekła walka. Przełęcz Mitla pada. Egipcjanie zostawiają 200 zabitych i drogę do Suezu wolną. Egipska kolumna pancerna, zdążająca do przełęczy z pomocą, została zaatakowana przez lotnictwo i zawróciła.

Część oddziałów izraelskich wkrocza do Port Tewfik, naprzeciwko Suez, lecz po stronie wschodniej kanału. Reszta rusza na południe, wzdłuż Zatoki Sueskiej, na Abu Zenima i El Tur.

2 listopada o 18.30 na El Tur, źródła ropy naftowej, rzucone zostały oddziały spadochronowe. Walki trwały cały dzień. Teraz od północy uderzają wojska pancerna. El Tur pada. Piątego Izraelczycy są przed Szarm-El-Szeik, na cyplu półwyspu.

Poprzedniego wieczora do Szarm-El-Szeik dotarła inna kolumna, która wyruszyła z Eilat i maszerowała

wzdłuż Zatoki Akkaba, w terenie uchodzącym za nie do przebycia. Trasa wynosiła prawie 400 kilometrów. Wielokrotnie saperzy musieli przy pomocy dynamitu wysadzać skały, by stworzyć przejścia dla czołgów i samochodów.

Ta złożona z 200 pojazdów kolumna znalazła się trzeciego przed fortem Ras-Nasrani — przedmiotem

szczególnie gorących pragnień Izraelczyków. Stąd bowiem baterie egipskie panowały nad Zatoką Akkaba, nie dopuszczając statków izraelskich do portu Eilat, który stał się w związku z tym wymarłym miastem. Fort nie był rozbudowany do obrony od strony lądu. Załoga porzuciła ciężkie działa których nie mogła skierować przeciwko nieprzyjacielowi i schroniła się do Szarm-El-Szeik, gdzie stacjonował garnizon w sile 1500 ludzi.

Izraelczycy maszerowali ich śladem. Czekali na swe lotnictwo. Załoga Szarm-El-

Szeik broiła się dzielnie. Dopiero ciężkie naloty i bomby napalmowe rzucone z Mustangów pozwoliły zdobyć fort. Część obrońców wycofała się i przebiegła łódkami do pobliskiej Arabii Saudyjskiej. 840 dostało się do niewoli, w tym 42 oficerów.

Taki był przebieg walk o południową część Półwyspu Synajskiego. Walki o część północną — i o drogę do Kairu — wyglądały kaudziej. W tych walkach Francja wzięła już udział bezpośredni.

(d.c.n.)

OSKAR LINDAY



DOKOŃCZENIE

Hopkins spotkał się z MacNeilem w willi wyznaczonej na „kontakty”. Odebrał i pokwitował dokumenty. Irlandczyk dość natarczywie depominał się o honorarium, ale Hopkins, przynajmniej pozornie, uspokoił go oświadczeniem, że wywiad jeszcze nikogo nie „nabrał” i że jeżeli materiały są autentyczne, wywiadowi będzie zawsze zależało na utrzymaniu wzajemnie życzliwych stosunków z ludźmi, którzy ich dostarczają. Ostateczną sumę wynagrodzenia ustalono na 8 tys. funtów.

Materiały poszły do ekspertyzy.

Po czterech dniach przyszło orzeczenie; dokumenty są rewelacyjne i całkowicie autentyczne. Sprawa oparta się o najwyższe czynniki wywiadu i kontrwywiadu. Ustalono niezbicie, że primo — członki maszyny do pisania, pieczętka „Geheim”, pieczętka przy podpisie i podpis Goeringa są oryginalne — posiadano bowiem wzory z innych dokumentów, zdobytych „normalną” wywiadowczą drogą; secundo — częściowe informacje wywiadowcze o dyslokacji obrony przeciwlotniczej w strefie Hamburga i Kanału Kilońskiego dokładnie nakładały się na schemat załączony do dokumentów.

A więc było to coś nieprzewidzianego...

Na najwyższym szczeblu brytyjskiego wywiadu postawiono dwa zadania: wyjaśnić skąd MacNeil wziął te materiały i wyjaśnić, czy dowództwo Luftwaffe nie zorientowało się, że wykradzono im dokumenty.

W tej drugiej sprawie odpowiedź przyszła szybko: dowództwo Luftwaffe nie zdradzało żadnego niepokoju.

Natomiast kwestia skąd MacNeil wziął dokumenty, pozostawała w sferze domysłów. Zainteresowany przyzywał wszystkie świętości, że nie więcej nie może powiedzieć. Również dalsza inwigilacja nie dała skutku. Wśród możliwych rozwiązań przeważało domniemanie, że Klitzner mógł te materiały odkupić lub przechwytać od

jakiegoś brytyjskiego lub innego agenta w Londynie, po prostu jako ciekawostkę, nie biorąc w rachubę ich autentyczności. Materiały te następnie zostawił u MacNeila (którego mógł znać z Niemiec) nie w tajemnicząc go, oczywiście, w charakter dokumentów. Gdy jednak ten zorientował się jakie dokumenty przechowuje, być może najpierw chciał je — dla własnego bezpieczeństwa — oddać władzom, potem zorientował się, że można na tym grubo zarobić. Możliwość współpracy MacNeila z wywiadem niemieckim w tym układzie wykluźmano. Tym bardziej że w kolejnej rozmowie z Hopkinsem nie dawał on żadnej nadziei na zdobycie innych dokumentów. W ten sposób cała historia nabrała charakteru jednorazowego epizodu. Wkrótce „zdeto” z MacNeila inwigilacja. Tylko jeden uparty funkcjonariusz kontrwywiadu, stawiając inną koncepcję, kontynuował śledztwo.

Albert Moss od paru dni niecierpliwie oczekiwał łącznika. Miał do przekazania sporą ilość ciekawych dokumentów o stanie angielskich badań w dziedzinie radiolokacji i o najnowszych działach przebijających pancerny każdego czołgu. Zadanie jego było już wykonane.

W marcu 1936 r., dokładnie cztery miesiące po aresztowaniu i samobójstwie Klitznera, do mieszkania Mossa niespodziewanie wtargnął funkcjonariusz brytyjskiego kontrwywiadu. Moss próbował sprzeciwić się przeprowadzeniu rewizji. Powoływał się na niejakiego kapitana Hopkinsa z Intelligence Service, któremu w swoim czasie przekazał ważne dokumenty...

Nie pomogło. Albert Moss — vel William MacNeil został aresztowany. Rewizja dała nadszpiegowane wyniki.

Droga do identyfikacji niebezpiecznego szpiega nie była łatwa. Funkcjonariusz, który uparł się kontynuować

śledztwo miał w ręku tylko jedną poszlakę — a i to nie wobec ściganego. Mianowicie najwybitniejszy w swoim czasie niemiecki szpieg — Marga Zelle, znana szerzej jako Mata Hari, rozpoczęła swoją karierę wywiadem w ręce francuskie ważnych i autentycznych dokumentów niemieckich. Ażlanckie centrale wywiadowcze, już po procesie Maty Hari, przyjęły to jednak jako próbę działania na dwie strony, tym bardziej że Matę ostatecznie wydał Francuzom jej niemiecki szef — Canaris (była ona wtedy już bezużyteczna, ale o tym Francuzi nie wiedzieli).

Brytyjski funkcjonariusz przyjął hipotezę inną: zarówno Mata Hari, jak i MacNeil działali świadomie i zgodnie z dyspozycjami swych central. Wyjawiając autentyczne tajemnice swego państwa — rzecz zdawałoby się absurdalna! — działali ryzykownie, ale skutecznie na zdobycie zaufania lub odwrócenie podejrzenia.

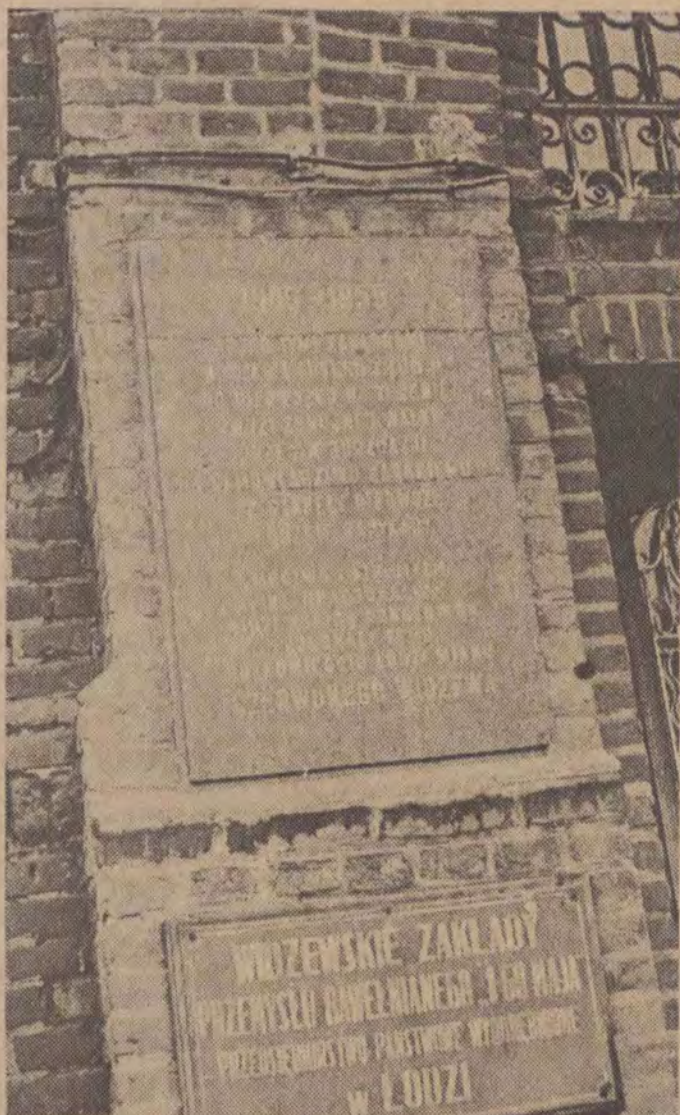
Przyjmując tę hipotezę należało jeszcze MacNeilowi — Mossowi udowodnić szpiegostwo. Rewelacyjnym rezultatem śledztwa było odszukanie prawdziwego MacNeila, rzeczywistego byłego studenta Heidelbergu, który spokojnie pracował w Południowej Irlandii, nie podejrzewając nawet, kogo ukrywa jego nazwisko.

Kres kariery Mossa był równocześnie ostateczną dekonspiracją chytręgo triku niemieckiego wywiadu — Abwehry.



*) W. Dąbrowski, „Wielki bluff admirała!”. Wydawnictwo MON, „Złoty Tygryś”.

SAGA RODU DUMNYCH



Łódź tętniąca życiem, Łódź zalana światłem tysięcy lamp, strzelająca w niebo tysiącami dymiących kominów. Miasto wyrosło na... bawelnie, dźwignięte barami włókienniczej wiary.

W roku 1826 jest tu zaledwie 27 majstrów tego rzemiosła; po trzech latach liczba włókiennarzy sięga 700 osób. Po dwudziestu latach liczba mieszkańców i domów wzrasta czterokrotnie, ilość pracowników fabrycznych dziesięciokrotnie, a produkcja piętnastokrotnie. Szybciej, szybciej!

Las ucieka coraz dalej. Drzewa wypierane są przez świecące golizną cegieł kominów. Po bitych traktach, ścieżkami, na przelaj przez wykroty trzeszcza furgony, toczą się biedki, skrzypliwie bryki, waszaki. Ze wszystkich stron ciągną ludzie...

O nich pisał poeta:
„Który tu idziesz — nadzieję rzucił
Wesela, słońca, błękitu
niech!
Czarne tu dymy i czarny chleb;
Który tu idziesz — nadzieję rzucił
— to Łódź!”

Ale oni nadziei nie rzucili. Dumni, dumni i wytrwali. Rosła Łódź — miasto mocy, grozy i pracy. I rosła, potężniała klasa robotnicza tego miasta. Zespalała swe szeregi, pod przewodnictwem Pierwszego Proletariatu, SDKPiL, PPS-Lewicy KPP, pod przewodnictwem zorganizowanego 50 lat temu klasowego Związku Włókiennarzy — przystąpiła do walki o swoje prawa. O prawo do pracy, o prawo do ludzkiego życia,

o prawo do szaczonego zawodu.

Zmieniały się twarze, zmieniali się ludzie. Trwała walka. Uparta i krwawa, pełna ofiar i wyrzeczeń. Gorące serca zamknięte za murami fabryk Poznańskiego, Biedermanna, Scheblera i Grohmana były wyteżonym rytmem.

Strajki! Zawyły syreny Widzewskiej Manufaktury. Snują się z kominów dym jak gdyby zawisł w bezruchu, potem rozwił się bez śladu.

Czerwony Widzew strajkował.

Właściwie to wówczas, w 1905 roku zakłady nosiły jeszcze inną nazwę: „Towarzystwo Akcyjne „Heinzel i Kunitzer”. Kohnowie opanowali fabrykę znacznie później. Ale czy to ważne? Nie ich to przecież pot, ale pot prawdziwych właścicieli — robotników Widzewa — dźwignął „Wimę” do rozmiarów jednego z największych w kraju przedsiębiorstw przemysłu bawelnianego.

— Na moich oczach rosła, panie, na moich oczach się to wszystko działo — wspomina dziś owe „złe czasy” Antoni Woldanowski, włókiennik z powołania, chodząca kronika zakładu, choć w aktualnej rubryce „zawód” — wpisuje się „emeryt” i dodaje: — z Orderem Odrodzenia na piersi oraz... skromną rentą w kieszeni.

Zaraz jednak macha ręką i wraca do rozpoczętej myśli:
— Kiedy w 1902 roku za-

czynałem pracę nie miałem nawet pełnych piętnastu lat. Długo terminowałem „u rajgera na przedzalni”, a dopiero potem...

Potem Antoni Woldanowski często „odwiedzał” — z woli carskiej ochrony — łódzkie i pozalódzkie więzienia, odbył bynajmniej nie w celach krajoznawczych „wycieczkę” via: Moskwa, Smoleńsk, Tomsk do Narymskiego kraju. W kilka lat później niemiecki okupant kieruje go w innym kierunku — nach Westfalen. A wszystkie drogi powrotne prowadziły na Widzew do ukochanej — choć tak ciężkiej — przecież — z trudem zdobytej pracy, do towarzyszy.

Do pracy, którą trzeba było zaczynać za pół darmo, do zawodu, którego tajemnice trzeba było samemu poznawać, zgryzać, poapatrywać. Nie było nauczycieli, instruktorów. Za naukę trzeba było ciężko płacić. Pierwszy brak — kara pieniężna, drugi — za bramę, za którą czekał „nowi”.

Każdy szanował swoją pracę i drżał na myśl, że może ją utracić.

— Pamiętam — opowiada Woldanowski — tkacza, który chcąc ukryć brak, zaryzykował kradzież kawałka tkaniny. Nie udało mu się. Nie udało się. Tkacz ów stracił prawo do stania przy maszynie przez 12 godzin dziennie.

A historia szła naprzód. Bece materiału i motki ba-



Antoni Woldanowski

welny przepłatały się z walką. Z walką ekonomiczną i polityczną.

Woldanowski szedł właśnie z naręczem szpulek, gdy do hali wtargnął tłum. Było to w czerwcu 1905 roku.

Widzewskim włókiennikom wezwania do walki nie trzeba było powtarzać dwa razy. Ow zryw łódzkich robo-

Łódź w ogniu strajków

Strajk generalny w zakładach użyteczności publicznej (komunary). Delegaci radu konferują z przemysłowcami.

Łódź, 15 marca 1905. Władze miejskie i państwowe, władze fabryczne i przemysłowcy, władze policji i wojska, władze rad i delegaci rad konferują w sprawie strajku.



Politycy w P. K. O. w czasie posiedzenia konferencji.

tników Lenin określił jako pierwsze zbrojne wystąpienie robotników Rosji.

Nie pierwsze i nie ostatnie zanim przyszło wyzwolenie, wyzwolenie spod panowania obcej monarchii. Ale obcy i rodzimy kapitał panował nadal.

— Przypominam sobie — zaczęła — to była wiosna 1933 roku...

Łódzkie fabryki pracowały wtedy jedynie po dwa, trzy dni w tygodniu. Zarobki nieustannie spadały. O 20-30 procent. Dopiero wówczas włókiennicze zrozumieły co oznacza słowo „kryzys”.

W WIMIE było niespokojnie. Krążyły sprzeczne wieści: że Kohn zwolni tylko jedną zmianę, to znowu, że wszyscy na jakiś czas pójdą na pomocowy chleb. Tu i ówdzie — po kątach sal, pod maszynami znajdowano ulotki. Białe skrawki papieru wzywały do strajku. Widzewska komórka Komunistycznego Zw. Młodzieży włączyła się do akcji.

Wreszcie — 5 marca, w wąskiej salce kina „Oświetlowego” na Wodnym Rynku delegaci łódzkich fabryk jednomyślnie podjęli decyzję: STRAJK!

Następnego dnia przed bramą Widzewskiej Manufaktury zaczęły się gromadzić grupki robotników. Fabryczny kolos dyszał jeszcze pracą...

Niedługo. Pod naporem „zbuntowanych” pękły barierki portierni. Wdarli się na salę.

— Nie pracujcie! Zatrzymajcie maszynę! Strajki! Dziedzice fabryczne wypełniły się podnieconymi ludźmi. Przemawia Tekla Borowiakowa. Rzuca hasło strajku okupacyjnego, żąda podwyższenia płac, zaprzestania redukcji.

Dziesięć dni stały już widzewskie wrzeczona...

Kohn nie wytrzymał. U bram pojawili się „chłopczy z Gołędzinową”; zaatakowali...

Kolby karabinów nie wybierały. Pobiło Borowiakową i 60 innych robotników. W WIMIE zaprowadzono „porządek”.

Ale walka — o pracę, o chleb, o godność włókiennicza — trwała...

A potem nadeszły dni okupacji.

WIMA przestała być sobą. Hitlerowcy unieruchomili całe oddziały. Zdemontowali, wywieźli do Reichu znaczną część maszyn. Z Widzewa nad Łódź popłynął siarkowódor.

W „Lietzmanstadt” nazwa Zellgarn znaczyła tyle co obóz koncentracyjny...

Usłyszałem strzały — wspomina Aleksander Możdżeń. — Na stosie węgla leżał robotnik. Nad nim z pistoletem w dłoń stał hitlerowiec...

Front był pod Łodzią. Wiedziałem że już niedługo. Skryłem się w jednej z fabrycznych piwnic.

Po dwóch dniach zdecydowałem się wyjść. Było cicho. Tylko za węglem stał czerwonoarmista. Dla WIMY skończyła się wojna.

Albo zaczęła? O każdą maszynę, o uruchomienie kotłowni, o pierwsze kilogramy przędzy już z ICH fabryki...

Czerwoną bramą widzewskich zakładów przyciągała jak magnes. Powoli wracał...

Nie wszyscy. Zrodziły się inne możliwości. „Bawelna” przestała być jedynym bóżkiem. Ci co zostali — to stara, wypróbowana gwardia ludzi umie-

jących żyć tylko w cieniu widzewskiego kominu. Nie starcza ich jednak.

Sale produkcyjne dawniej WIMY upstrzone są „wyspami” martwych maszyn. Niewielu jest chętnych do pracy w przedzalni, tkalni...

Czyżby więc saga rodu ludzi o „twardych karkach”, dumnych i nieustępliwych miała się niespodziewanie urwać?

„Starzy” wprawdzie sarkają, psoczą na ciagoty młodych, ale od czasu do czasu z ciekawością zerka ją w stronę, gdzie przy maszynach stoi kilkanaście dziewcząt.

„Szkółka” — tak to się nazywa, 60 młodych kobiet uczy się w niej zawodu przadki, tkaczki, poznaje tajniki „królowej” Łodzi — bawelny.

Czasem, gdy młodym ręką coś „nie wychodzi” — czyjaś wprawa pomocna dłoń poprawi, nauczy.

Bo ta sześćdziesiątka jest nadzieją. Tych ludzi, którym włókienniczy stan starczy za wszystkich!

Mglisty jesienny poranek. Cisza. W ciszę tę nagle, natarczywie wtargnął jakiś obcy dźwięk. Potem drugi, trzeci, dziesiąty... Dźwięk obcy dla przybysza, ale dobrze znany, bliski każdemu łódzianinowi. Tak właśnie dźwięczą fabryczne syreny, wzywają do pracy!

Za chwilę staną przy krosnach i maszynach przedalniczych, w bielniku nad kładką farbiarską. By produkować nowe, coraz to nowe tony przędzy, nowe metry



tkanin na którą czeka rynek krajowy i eksporterzy...

Staną młodzi i starzy, spadkobiercy bogatych tradycji włókienniczych, realizatorzy jubileuszowego hasła pierwszego w Polsce Klasowego Związku: „50 LAT UCZY I ZOBOWIĄZUJE”. Uczy szacunku do pracy, do zawodu; zobowiązuje młode pokolenie do kontynuowania chlubnej historii Rodu Dumnych.





Rys. Czesław Sadowski

HORACY SAFRIN

W związku z organizowaną przez „Odgłosy” akcją prezentowania łódzkich satyryków redakcja zwraca się do Pana z prośbą o łaskawe odpowiedzenie na następujące pytania:

1. Czy bawi Pana Pańska twórczość satyryczna?
2. Czy lubi Pan zwierzęta, a jeśli tak, to jakie?
3. Czy gra Pan w „Kukuleczkę”? A jeśli nie, to w co?
4. W jakich warunkach Pan pracuje? Co Panu przeszkadza, a co pomaga w pracy?
5. Co sądzi Pan o swoich kolegach — satyrykach?
6. Czy „Odgłosy” Pana bawią? Uczą? Podtrzymują na duchu?

ODPOWIEDZI

1. Owszem. Zwłaszcza moje kawaty „z broda”. Pomerowałem je i na widok — dajmy na to — liczby 18, zamieszczonych na tabliczce Łódzkiego Domu Kultury, ku zdziwieniu przechodniów wybucham głośnym śmiechem.
2. Kocham psy jako myślące stworzenia. Moja żona utrzymuje wprawdzie, że ludzie również myślą. Coś są to raczej wyjątki potwierdzające regułę.
3. A jakże. Ale wygrałem dotychczas zaledwie 26 złotych. I to na trzy numerki anegdot „U nas w Stanisławowie...”
4. Przeszkadza mi lektura pism satyrycznych, a pomaga intensywne dźwięki w nosie.
5. „Przebacz im, bowiem nie wiedzą, co piszą...” Poza tym, w imię lojalności, uchylam to pytanie.
6. „Odgłosy” podbudowują mnie ideologicznie. Szczególnie rubryka „Golono-Sirzyżono”.

Byla raz sobie... hm... leciwa dziewczyna, która szukała szczęścia. Jakiego szczęścia, wia domo. Komentarze zbędne. Znalazła je wreszcie (to szczęście) pod postacią młodego wprawdzie, lecz za to nader zażywnego kawalera. Kawaler ów — w odróżnieniu od naszych dotychczasowych bohaterów — nie miał łysiny. Wprost przeciwnie. Był posiadaczem dość bujnej, troskliwie napomadowanej czupryny, binokli oraz wysokiego, zmarszczkami usianego czoła. Ponadto dwóch głębokich bruzd, ciągnących się od nasady mięsistego nosa po kąćki warg (co świadczy podobno o intensywnym myśleniu).

I byłoby wszystko w tak zwanym porządku, gdyby nie drobna... hm... usterka. Nasz kawaler, któremu na imię było Gabriel, cenił nade wszystko milczenie. Milczał uparcie, tajemniczo, znacząco. Nawet siedząc w parku na ławeczce — rzecz jasna, w czar-

wcową pogodną noc — kwitował długi całus miłosny krótkim, zagadkowym: „Tja”.

W końcu dziewczyna nasza, zwana Emilią, nie wytrzy-



mała i pobiegła do wspólnej znajomej. — Co sądzisz o Gabrielu? — spytała stanawszy w progę. — To bardzo interesujący człowiek. — Więc dlaczego milczy?

— Milczy, widzisz, bo jest wielkim myślicielem...

Jednak Emilię nie zadowolila ta odpowiedź. Stęskniona za mową ludzką udała się do sklepu i kupila tam mówiącą papugę.

A że nieszczęścia chodzą w parze, zielony, okazały kakadu — mimo rozpaczy-wych wysiłków Emilię — nie raczył puścić pary z dzioba. Milczał.

Zawiedziona dziewczyna u-dała się ponownie do sklepu.

— Trzy dni temu kupiłam u pana mówiącą papugę. Tego oto kakadu.

— No, i co z tego? — Ależ on w ogóle nie mówi!

Kupiec chrząknął i odparł bez zakłopotania: — Nie mówi... hm... to prawda. Jest za to wielkim myślicielem...

Rzuciła mu klątkę pod nogi.

Morał: Wielcy myśliciele! Wyłaście z waszych klitek, nor, zakamarków i zacznijcie przemawiać najzwyczajszą prozą!



Jedno jagniątko małeńkie ongi kupił nam papa za dwa szelagi — jedno jagniątko.

A kot, na ciepłą posokę lasy, pożarł jagniątko onemi czasy — jedno jagniątko.

Ledwie to zwęszył kundys-niecnota, wypadł z ukrycia i zagryzł kota — jedno jagniątko.

Czekał okazji kostur sekaty, by kundysowi przetrząść gnaty — jedno jagniątko.

Widząc to, ogień z kominka buchnął i spalił kostur na szare próchno — jedno jagniątko.

Zabulgotała woda wymownie, chlusnęła z wiadra, załajała głośnie — jedno jagniątko.

Wół, co do stawu akurat dreptał, stanął w pół drogi, wodę wychleptał — jedno jagniątko.

Lecz zanim sobie do syta popił, rzeźnik w gardzieli nóż mu zatopił — jedno jagniątko.

Tego, gdy wołu krajał na ćwierci, celnym rozmachem ściał anioł śmierci — jedno jagniątko.

A skoro ujrzał Duch wszechobecny anioła śmierci uczynek niecny, wnet go z rzeźnikiem zgładził pospolu, co spragnionego nie szczędził wołu, za to, że wody wychleptał lagiew, co ugasila pożaru żagiew.

Ten-cj płomieniem kostur omotał, iże psa ubił, mordercę kota, co w swe drapieżne uchwycił łapy jedno jagniątko, podarek papy — jedno jagniątko.



MĘDRZEC I STONOGA

Mędrzec spytał stonogę: „Powiedz mi po prostu, w jaki sposób podnosisz jednocześnie sto stóp?” Ta odrzekła mu: „Sekret tkwi w tym, mówiąc ściśle, że gdy nogi podnoszę, to o nich nie myślę”.



Politycy, na ogół biorąc, woła odpowiadać przed sądem historii, niż przed Trybunałem Orzekającym.

Niepoprawny optymista, znalazłszy się w pociągu, wołał: „Czuję ożywczy powiew nowej epoki!”

Można być Cezarem. W stosunku do kobiet odnosi się na ostatku pyrrusowe zwycięstwo.

O LUDZIACH W FUTERALE

Raz ślimak zagađnięty w locie przez motyla, dlaczego ze skorupy rzadko się wychyla, „Naśladuję człowieka, — rzekł zarozumiale. — Więc chowam się w skorupie, jak on w futerale...”



O PEWNEJ DAMIE

Wcześniej zaczęła uszczęśliwiać świat... Bis dat, qui cito dat!

NA UCZONĄ IDE

Dlaczego ma przyjaciół dwóch, spytał Idę. „Si duo faciunt idem, non est idem”.



WITRYNA
Książarska

Ibsen
Leszczyński
„Zakochani”
„Malarz dnia siódmego”

str. 6 **odgłosy** **DOM KSIĄŻKI**

Henryk Ibsen „DRAMATY”, tom II PIW — 1958 r.

Na warszawskim przedstawieniu „Norry” Henryka Ibsena publiczność żywo reagowała na akcję rozgrywającą się na scenie. Często słyszałem szepty: „Co będzie dalej? Co ona teraz zrobi?”. Tak, w pewnym momencie miałem wrażenie, że siedzę na jakimś kryminale Agaty Christie. Nie dziwnego, że liczni autorzy powieści sensacyjnych wymieniają Ibsena jako duchowego prekursora literatury z dreszczykiem. Istotnie, wątek sensacyjny w każdym dramacie Ibsena spełnia rolę szkieletu wokół którego obudowany jest cały spłot zagadnień politycznych, społecznych, religijnych. Niektóre dramaty Ibsena ożywiają dopiero na scenie. Potrzeba im umownego życia w świetle reflektorów. Do takich zaliczyłbym: „Peer Gynta”, „Rycerzy Północy”, „Podpora społeczeństwa”. Ale sa

też dramaty, które czyta się jednym tchem, które chwytają, wciągają w akcje. Przeczytałem nieomal bez przerwy gruby tom (II) dramatów, który zawiera pięć utworów („Upiory”, „Rosmershol”, „Budowniczy Solness”, „John Gabriel Borkman”, „Gdy wstaniemy z martwych”). I oto refleksja: w każdym z dramatów tkwi jakiś konflikt sensacyjny, a na jego tragiczne rozwiązanie trzeba czekać do końca. Wiele problemów poruszanych przez wielkiego Norwega nie straciło nic na swojej aktualności. Np. problem dziedziczności (rozpoczęty w „Domu Ialki”), nie pozwalający zdolnemu malarzowi na pracę twórczą (Oswald z „Upiorów”), albo problem wolnej kobiety, nie obciążonej konwensami mieszczańskiego świata, walczącej bezwzględnie o ukochanego, doprowadzając jego żonę do obłędu, a później samobójstwa.

Dramaty Ibsena nie miały łatwej drogi na scenę. W purytańskiej Anglii odsadzano od czoł i wiary auto-

ra „Heddy Gabler”. Poważni krytycy obdarzali dramaturga takimi epitetami: „Egoista i partacz”, „Zwarłowany fanatyk”, „...nie tylko konsekwentnie plugawy, lecz pożałowania godny nudziarz”, „nauczyciel estetyki szpitala węgrycznego...”

A dziś? Porównajcie opinie prasy o ostatnich spektaklach. Przeczytajcie Ibsena.

Jerzy Leszczyński „Z PAMIĘTNIKA AKTORA” „Czytelnik” 1958.

Tak się ostatnio złożyło, że widziałem w Warszawie „Mazepę” z Hańcza w roli Wojewody, a wczoraj skończyłem „Z pamiętnika aktora” Jerzego Leszczyńskiego. Dlaczego wiąże te dwa wydarzenia? Bolesław (ojciec autora) Leszczyński był bowiem niezrównanym odtwórcą tej postaci, a wśród aktorów krążyła legenda na temat jego gry w sztuce Słowackiego. Miał Leszczyński jakaś siłę niesłychaną. Jego Wojewoda był nie

tylko udziałnym królewiatkiem, ale także oszalałym z bólu po stracie syna ojcem. Jak pisze junior Leszczyński, który grał (co za spotkanie!) Mazepę w scenie, gdy Wojewoda prowadzi dialog nad trumną Zbigniewa, biedny paż skrecał się z przerażenia pod groźnym spojrzeniem straszego ojca, co więcej, ojciec nie pozwolił synowi — przeciwnikowi opaść w szaleńczej furii nieważności, rzucając coraz groźniejsze błyski swoich olbrzymich oczu. To się nazywa pomoc partnera!

Ta uroczą gawęda starego wyjadacza, który grał we wszystkich niemal teatrach polskich, naszpikowana jest dziesiątkami anegdot, niezapomnianych „wsypek”, jak ta, którą miał Leszczyński podczas gościnnych występów w naszym mieście: Leszczyński grał Cześnika w „Zemście”. Dyndalskiego grał aktor epizodyczny Czeremuzynski. Gdy przychodzi scena, gdzie Dyndalski stara się za wszelką cenę odwieść Cześnika od rzeźniarstwa (Dokończenie na str. 7)

Słodka Kryśka

DWIE RECENZJE Z OPERETKI

Recenzja I
(dla starszych)

Oto skutek, że na premierę operetki „Kryśka leśniczanka” poszedłem samotnie, bez kłobocznego towarzysza:

Kurtyna odsłania leśniczkę w lesie (no bo gdzie?). Na dachu ślicznie odmalowanej leśniczówki całują się ptaszki, a w sieni dali mający zarys gór. Wokół leśniczówki — oczywiście — drzewa, ale na drzewach rozpięto, na kształt suszących się sieci, jakąś przeswitującą materię. Musi być tu! — diabli wiedzą co. A kobieta zaraz by wiedziała.

Jednak zrozumiałem, że owa udrapowana materia symbolizuje baśniowość wiadomości, a nie brak strychów w dawnym budownictwie wiejskim.

Baśń się zaczyna. Córka leśniczego, uroczą i energiczną Kryśka, ze strzelbą na ramieniu pomaga ojcu w służbie. Karze grzywną nieznanego myśliwego, strzelającego w cesarskim lesie (zresztą przemilgając młodzieńca). Są także trzej aktualni wielbiciele Kryśki: kapitan wojska, hrabia Sternfeld, rzadca dóbr hrabiego, młody Węgier Foeldessy i krawiec Walperl, pozujący na dygnitarza. Węgier Foeldessy zdaje się mieć największe szanse. Krawiec po pijanemu oskarża Foeldessy'ego o dezerccję, ten do dezerccji przyznaje się, a hrabia natychmiast aresztuje walera. Foeldessy w rytm żwawego walczyka śpiewa o sędzie wojennym i kuli w łeb.

Kryśka postanawia ratować ukochanego interwencją w Wiedniu u samego cesarza. Cesarz okazuje się być — oczywiście — ukaranym grzywną nieznanym myśliwym. Cesarz ulaskawia Foeldessy'ego i tańczy z Kryśką na balu dworskim. Dziewczyna wraca do domu, nadal nieszczęśliwa, bo w serduszkach kolejątki obraz dobrego władcy. Więc cesarz zjawia się znów w leśniczówce, lecz nie wykorzystuje niewinności dziewczęcia, o niej Zegna się z Kryśką tkliwie, wręcza pierścień, doradza małżeństwo z przystojnym Węgrem i prosi, aby pierwszemu synowi nadał jego imię: Józef. Zaraz potem przychodzi Foeldessy, mło-

dzi się całują, otoczenie dyskretnie usuwa się.

„Kryśka leśniczanka” powstała w okresie późniejszym, gdy operetka wiedeńska wyłobitła już głębokie koleiny kanonów tradycji. Kompozytor operetki, osiadły w Wiedniu Węgier Georg Jarno (1888—1920 r.) zrecenzuje się koleiną tradycji posuwa. Spotykamy wypróbowane doświadczeniem chwytów artystyczne, dostrzegamy w muzyce ulubiony klimat łatwości i lekkości. Muzyka zgrabna, jak pisze program łódzkiego widowiska: „łatwo wpadająca w ucho”, jednak wierna najbardziej stereotypowym konwencjom równie łatwo przez drugie ucho wypada. „Kryśka leśniczanka” nie dorównuje i nigdy nie dorówna wybitniejszemu dziełom Jana Straussa czy choćby Lehara, to już kwestia rangi talentu. Jedyną zasadniczą zaletą dzieła Georga Jarno jest miły, pogodny nastrój baśniowej umowności, oparty na pewnej kulturze artystycznej. Właśnie dzięki temu „Kryśka leśniczanka” utrzymuje się do dziś w repertuarze. Również i łódzki spektakl będzie miał powodzenie, choć nie stanie się rewelacją.

Reżyseria i inscenizacja łódzkiego widowiska jest całkowicie bezpretensjonalna, pozbawiona prób „nowego odczytania” czy wzbogacania w problematykę. Reżyser pisze w programie: „A wszystko po to, żeby widzowi dać kilka godzin odpoczynku i rozrywki. Innych zadań wykonawcy i realizatorzy „Kryśki leśniczanki” sobie nie stawiali”. I rzeczywiście...

Jednak bezpretensjonalność i prostota spotkała się ze staranną pracą i przyniosła kilka osiągnięć. Uroczą i dziewczęcą była Wanda Bojarska jako bohaterka Kryśka. Ponadto śpiewała ładnie i czysto. Lech Redo był samym uosobieniem cesarskiej dobroci, mądrości i szlachetności. Edward Kamiński (Foeldessy) wrócił na operetkę łono i to z dobrym skutkiem. Jerzy Sidorowicz typowym dla swego aktorstwa zasobem efektów budował komiczną postać krawca o nadmiernych ambicjach, Walperla, Jadwiga Kenca dobrze się czuła w roli damy w średnim wieku, siostry hrabiego. Krystyna Nyc-Wronko realizowała rolę pełnej temperamentu Cyganki Minki.

Ładnie grał soliści, ładnie śpiewał chór, ładnie tańczył balet, ładnie akompaniowała orkiestra. Wszystko było bardzo ładne i bardzo mi się podobało.

Ale najbardziej podobał mi się wentylator. Uruchamiany podczas przerwy był jak silnik odrzutowca i — jeśli nie zmieniał całkowicie powietrza — to z pewnością uzyskiwał wyraźnie odczuwalne skutki swej działalności. Doceniajcie wentylator, o, bywalcy operetki, albowiem świeże powietrze jest ważnym warunkiem dobrego odpoczynku i rozrywki.

Recenzja II
(dla młodszych)

Operetka „Kryśka leśniczanka”. Strip-teasu nie ma.

Operetka Georga Jarno „Kryśka leśniczanka” według libretta Bernharda Buchbindera. Reżyseria: Jerzy Walden. Kierownictwo muzyczne: Władysław Rossa. Przygotowanie muzyczne: Kazimierz Skinder. Scenografia: Stefan Janasik. Choreografia: Józef Matuszewski. Przygotowanie chóru: Tadeusz Kaldowski. Premiera dnia 12.XI dyrygował Kazimierz Skinder.

WACŁAW MROZOWSKI

II

Pytasz dlaczego nie nie piszę? Gdy w alkoholu toną muzy, rdza pokrywają się klawisze instrument się rozwała w gruzy.

Tak będąc zdany na banicję nie piszę, to jest oczywiste, jestem jak pociąg z amunicją pędzący z pijanym maszynistą.

Aż dnia pewnego na zakręcie wybuchną wałąc się z nasypu, nabrzmiła słowem struna pęknie...

XVIII

Dzisiaj nie będzie wielu gości. Imienin dzień goryczny, pełen żalu: John Barleycorn, Canadian Whisky parę gramów Morfiny, reszta Luminalu.

Wśród was usiądę jak samotny liść, który opada z drzewa w południe jesienne. Zaczekamy na kogoś, kto powinien przyjść, ale nie wróci nigdy z dalekiej Rawenny.

I po chwili milczenia ciężkiej i kamiennej, ostrogami zadźwięczą nalane kieliszki przez pokój przejdzie cisza Wielkiej Bezymiennej, a szeszolap na flecie grając zwabi myszki.

I to już będzie koniec. Wiedz mój Czarny Bracie, w ten wieczór pogmatwany dla mnie i okropny, czekając na pijaństwo kręcąc w międzyczasie imiennowy sznur konopny.

XXI

Bezsennych nocy szpitalnych nie liczę patrząc na niebo przez okucia krat, dziś jeszcze jedna trzasnęła mi biczem — z nią karkołomnych czterdzieści pięć lat.

Cóż czeka jeszcze? Gdybym wiedzieć mógł z pewnością nie bym nie przerażono, gdzieś na samotnym drzewie czeka czarny kruk, co skrzydłami jak kłamrą zepnie śmierć i miłość.

Z tomu wierszy wybranych pt. „Drugi brzeg”, który wkrótce ukaze się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie.



Dobrze się stało, że Michał Orlicz, autor cennej książki „Polski Teatr Współczesny” (dziś już rzadkość antykarska), opublikował na łamach „Odgłosów” artykuł o krytyce teatralnej. Ale źle się stało, że nie zagrał w nim w otwarte karty. Ze nie powiedział zyczajnie i otwarcie, co go boli i kto i dlaczego mu się nie podoba. Bo na dobrą sprawę nie wiadomo, czy Orlicz ma na myśli sytuację krytyki teatralnej w Polsce, czy tylko w naszym mieście. A jeśli tylko w naszym mieście, to które z recenzji uważa za wyjątkowo złe, nieudane, krzywdzące? I czego wymaga od krytyka? Jakże stawia mu zadania?

Spór o krytykę teatralną wybuchną w Polsce co kilka lat w którymś z numerów przedwojennej „Sceny Polskiej” czytałem sporą ilość wypowiedzi na ten temat. Po wojnie urzędowano nawet jakiegoś zjazd problemom krytyki teatralnej poświęcony. Rzecz jasna — żaden zjazd i żadna anketa niczego w sensie praktycznym nie rozwiązuje. Nie rozwiąże zapewne niczego i nasza obecna dyskusja (zakładając, że w ogóle „wybuchnie”). Jeżeli jednak przyczyni się do wyjaśnienia sobie własnych stanowisk i poglądów na rolę krytyki teatru z jednej i recenzentów z drugiej strony — to dobre i tyle.

O coż więc chodzi? Teatry skarżą się, że recenzenci nie potrafili ocenić pracy reżysera i aktora, że wykpiwają się rozmaitymi banaliami w rodzaju: „pani X była poprawna”, albo „pan Y wyszedł ze swego trudnego zadania obroną ręką”. Ze oceny prasowej nie są należycie uzasadnione i uargumentowane. I podają nazwiska znanych krytyków z okresu międzywojennego jako przykłady pozytywne. Otóż najzabawniejsze jest właśnie to, że krytycy ci często pisali o aktorach tak samo. Mam u siebie zbiór recenzji teatralnych Kazimierza Wierzyńskiego (wiele nie było kogo) pt. „W garderobie duchów”. Ież tam sformułowań, za które dzisiaj na głowy recenzentów syją się potężne gromy. A uwielbiany Boy? Cóż on pisał o aktorach, o sztuce aktorskiej? Właśnie, że Z. był poprawny a D. wyglądała ładnie lub brzydko. Powiedzie: a inni? I inni nie byli tacy idealni.

Nie wydaje mi się również słuszne stwierdzenie, że dobre recenzje teatralne może pisać jedynie ten, kto zna teatr „od kulis”, kto — krótko mówiąc — tak czy inaczej w teatrze terminował. Przypomina mi się tutaj to co kiedyś na jakimś zjeździe literatów powiedział Adam Polewka: „Czy jeżeli chce napisać powieść o ministrze, to sam muszę wpiąć być ministrem?”

Już czuję, jak osaczają mnie zdenerwowane spojrzem: więc ostatecznie do czego zmierzasz, odkryw te karty, których rzekomo nie od-

krył Michał Orlicz! Pracuję w teatrze okragle pięć lat. Mam pojęcie o pracy reżysera, aktora, scenografa. Wiem, na czym to wszystko polega. Mimo to wcale nie jestem pewien, czy pisałbym lepsze recenzje od tych, którzy tej „technicznej” wiedzy nie posiadają. Krytyka interesuje nie to, co dzieje się za sceną (chyba, że jego żona czy narzeczona jest aktorką), lecz to, co dzieje się na scenie. Obchodzi go gotowy produkt artystyczny: przedstawienie.

Spojrzyjmy na przedstawienie w łódzkich teatrach. Czy recenzenci teatralni tak bardzo nabroili w swoich ocenach? Wystawił Koczanowicz dobrze „Pamiętnik Anny Frank” — pochwalono jego i teatr. Wystawił Borowski dobrze „Majątek albo imię” — pochwalono go, zauważono rezultat pracy reżysera i aktora. Wystawiono coś źle — recenzenci krytykowali. Nie widzę w tym względzie jakichś większych omyłek. A ton niektórych recenzji? — spytaście. — Uczciwość, złośliwość — czy to również należy do uzbrojenia krytycznego recenzenta?

Temperament ludzki to nie drzewo: ociosać go nie można. Zresztą bez temperamentu nie ma sztuki: ani w teatrze, ani nigdzie. Dobry recenzent to również artysta. Więc niech pisze z temperamentem, niech żartuje, niech strzela racami dowcipu i pomysłowości. Jednego tylko nie można wybaczać: chamstwa.

To, co napisałem do tej pory, jest jakby obroną recenzenta przed teatrem. Nie znaczy to przecież, że nie należy bronić teatru przed recenzentem. Tak się złożyło że niedawno zapoznałem się dość dobrze z recenzjami teatralnymi X-ów pisanymi w okresie Królestwa Kongresowego. Otóż co mnie w tych recenzjach uderzyło przede wszystkim? Ze mogłem sobie na ich materiale odwozować wcale nieźle polski teatr początków dziewiętnastego stulecia. A więc grane wówczas utwory, ich treść, kostiumy, jakich używano, dekoracje, grę aktora, sposób mówienia, poruszania się na scenie itp. Zdumiewające: mam konkretny obraz życia teatralnego tamtego czasu. I od razu zadałem sobie pytanie: a jaki obraz można sobie wyrobić na podstawie recenzji naszych krytyków? Ułamkowy, niepełny, bardzo niejasny. I te sprawy uznalbym za główną i najważniejszą. Recenzenci nie dają obrazu życia teatralnego. Czytelnik otrzymuje szczytkowy materiał impresjonistyczny, nie otrzymuje rzetelnego opisu i osądu danego zdarzenia artystycznego.

Jeżeli więc miałbym jakieś życzenia pod adresem naszych recenzentów, to streściłbym je tak: w recenzji należy przedstawić całość zjawiska, żeby nawet człowiek, który nie był na przedstawieniu, mógł wiele się o nim dowiedzieć; a ten, co był, by miał uporządkowany pogląd w odniesieniu do wszystkich elementów widowiska. Aby recenzent mógł to zadanie spełnić, musi interesować się nie tylko literaturą i dramaturgią. Musi interesować się scenografią, kostiumologią, aktorstwem. Musi interesować się po prostu teatrem.

Albo samo zainteresowanie nie wystarczy. Jest ono niezbędne do tego, by móc wiedzieć. Czy jednak spełnienie i tych warunków przyczyni się do pisania recenzji, z których teatr będzie zadowolony — nie wiem. Są rzeczy, których nie można się nauczyć. Trzeba mieć talent, czyli — jak dawniej mówiono — owa „Iskra Boża”. Jeżeli recenzent nie ma talentu, nie mu prawdopodobnie nie pomoże. Nawet wiedza choćby największa.



„Zakochani”

wskazując mu jego fizyczne niedomogi, w pewnym momencie mówi: „Rumaczmy łakieś łupia...” Cześnik ze złości odpowiada: „Oł, co powiesz, wszystko głupio”. Ceremużyński, na którego biła siódme poty, słabutkim głosikiem odpowiada: „Rumaczmy łakieś gniota”. Następnie okropna cisza. Leszczyński spiorunował improvizatora spojrzem i po chwili rzucił w ściekłość: „Och, ty stary idvjoto!”

„Ryt i rym Fredry został zachowany” — dodaje na zakończenie autor. Książka Leszczyńskiego nie jest na pewno próbą analizy gry aktorów polskich lat ubiegłych. Jest natomiast uroczym opowiadaniem miła, aktorska gawęda o pięknych, dawnych czasach, kiedy to „Warszawskie Rozmaitości” wymieniało jednym tchem z Komedii Francuska, wiedeńskim Burgiem i carską „Aleksandrynką”. M. R.

Zakochanych można powiedzieć z pewnością dwie rzeczy. Ze po pierwsze — są sami na świecie i że po drugie — są tematem rysunków Raymond'a Peyne'ta.

Specyficzny humor tego najpopularniejszego francuskiego rysownika, który można by nazwać humorem lirycznym, ma to do siebie, że ogląda się „Zakochanych” trochę tak, jak tomik poetycki. Bo prawie każdy z rysunków Peyne'ta jest jakby wierszem z żartobliwą pointą. Jest w nich tyleż dowcipu co poezji.

wydany przez Wydawnictwo Artystyczno - Graficzne — ci właśnie „Zakochani”, to po trosze sam Peynet i jego żona.

W Paryżu popularność Peyne'ta jest ogromna. Nie mówiąc o wielkiej ilości rysunków w pismach, jego „zakochani” — tym razem już nie rysunki, ale lalki — zdobią paryskie wystawy, a w mniejszym wydaniu kołyszą się za szymbami samochodów jako przynosząca szczęście maskotka. W większych magazynach można dostać peynetowskie chusteczki na głowę (za jedne czterysta franków). Na białym jedwabiu „zakochani” czują się bowiem tak samo dobrze, jak na stronicach tej czarującej książki.

„Malarz dnia siódmego”

Jeżeli ktoś nie wie jeszcze, kto to jest Teofil Ociepka — to dowiedz się tego z wydanej przez krakowskie Wydawnictwo Literackie książki

Andrzeja Banacha, Banach opracował temat ciekawie i rzetelnie, analizując malarstwo Ociepki, jego związki z najwymi realistami innych krajów i w końcu filozofię Ociepki — malarza i człowieka.

Jeżeli ktoś lubi nieporadność i jaskrawość malarstwa odpułstowego i chciałby na przykład dowiedzieć się, jak wyglądają demoniczne zwierzęta żyjące na Saturnie, albo co za tajemnice kryją w sobie fale morza — zainteresuje się na pewno tą pracą. Pracą o polskim malarzu niedzielnym, dla którego malarstwo to nie zawód, ale rozrywka po tygodniowej pracy w śląskiej elektrowni.

E. Z.



ISKRY wśród n a f t y

Od wieków wiadomo, że Bliski Wschód leży na skrzyżowaniu dróg wiodących na cały świat. Pożar, który wybuchł tutaj ogromnie łatwo przerzuca się dalej. A świat jest w roku 1958 niezwykle łatwopalny: strasznie wysechł w latach zimnej wojny. O pożar nietrudno, zwłaszcza, gdy ktoś rzuca płonąca żagiew pomiędzy zbiorniki z naftą.

Będąc w Bagdadzie i widząc na ulicach miasta czolgi, żołnierzy z automatami pilnujących wszystkich ważniejszych, a nawet mniej ważnych punktów, będąc co chwila rewidowanym — zastanawiałem się czy rewolucyjny rząd rzeczywiście musi przejawiać aż tak dalece posuniętą czujność. Wydawało mi się nieprawdopodobne, by w atmosferze ogromnego, powszechnego entuzjazmu, z jakim naród opowiada się po stronie rewolucji ktoś mógł bezpośrednio podnieść rękę przeciw jej rządowi. Dopiero później przekonałem się, że na rozświetlonym, bagdadzkim horyzoncie występują niepokojące cienie.

„ZABAWA W OGIENI”

Oto ogłoszono niedawno wiadomość o decyzji rządu angielskiego dotyczącej postępowania i zakrojenia na szeroką skalę dozbrojenia państwa Izrael. Dozbrojenia państwa, które i tak jest już jedną wielką zbrojownią. Mieszkańcy Izraela od lat żyją poddani wojskowej dyscyplinie nawet w cywilu i muszą się liczyć z tym, że w każdej chwili, ot, choćby za godzinę — mogą się znaleźć na linii frontu.

Oto w Iranie prowadzi się wielką kampanię propagandową przeciwko Irakowi i próbuje wywołać rozdział między nowym rządem i ludnością kurdyjską, co swego czasu zawsze robił Anglik, gdy chciał wywrzeć nacisk na Irak. Organizuje się nawet — prawdopodobnie sfingowane — ucieczki Kurdów z terytorium Iranu.

Oto Sudan podejmuje jednostronną decyzję budowy zapory na Nilu łamiąc tym samym porozumienie z 1929 roku, które przewidywało, że wszelkie prace nad Górnym Nilem mają być przeprowadzane za zgodą obu stron: Sudanu i Egiptu. Prawdą jest, iż porozumienie to zostało wówczas narzucone przez silniejszy Egipt. Ale jest także oczywiste dla każdego, kto widział, że Egipt jest tylko wąskim pasemkiem zieleni, ciągnącym się po obu stronach Nilu, miejscami na szerokość zaledwie 5 kilometrów — że bez „ojca rzek” życie Egiptu istnieć nie może. I nie jest to kwestia prestiżu czy pozycji. To po prostu sprawa życia. Człowiek oddychający wyłącznie za pośrednictwem rurki doprowadzającej tlen nie może obojętnie patrzeć jak ktoś bez jego zgody manipuluje wokół butli z tlenem. Nawet gdy ten ktoś nie ma złych zamiarów. A tymczasem zamiary Sudanu nie są zupełnie jasne. Stosunki między obu krajami są od pewnego czasu napięte.

Oto silnie związany z zachodem Tunis atakuje Egipt. Nasser i Liga Arabska, twierdząc, że stała się ona narzędziem w ręku jednego państwa.

Oto sytuacja wewnętrzna w Iraku jest ciągle jeszcze nie wyjaśniona. Istnieją trudności, które general Kassim musi rozwiązać jeśli chce ustabilizować sytuację i prze-

prowadzić wybory tak jak zapowiedział.

W takich to okolicznościach Anglik podjął decyzję, którą tak wytrawni dyplomaci, jak ci, kierujący polityką na Downing street w Londynie — musieli dokładnie przemyśleć. Ale mimo, iż niewątpliwie przemyśleli ją dokładnie — nosi ona cechy samobójcze i wynika z przymusowej sytuacji, w jakiej Anglia znalazła się nie chcąc zmienić swej bliskowschodniej polityki.

WOJNA, W KTÓREJ CZASEM SIĘ STRZELA, ALE KTÓRĄ PROWADZI SIĘ STAŁE

Ogłoszenie, że będzie się dostarczało wielkich ilości broni Izraelowi jest najsilniejszym uderzeniem w twarz, jakie można wymierzyć Arabom. Wyobrażam sobie, że gorszy efekt mogłoby mieć chyba tylko polecenie Świętego Kamienia Kaaby i sprzedanie go w postaci kamieni do zapalniczek.

Między Izraelem a państwami arabskimi istnieje od 1948 roku stan wojny jeszcze nie zakończonej wojny. Nie zawsze się w tej wojnie strzela — tylko od czasu do czasu. Ale stale się ją prowadzi. Izrael jest obłożony, nie posiada żadnych kontaktów ze swymi sąsiadami. Kupiec arabski, który ośmieliłby się kupić lub sprzedać najbliższą choćby ilość towarów od Izraela lub Izraelowi, zostałby natychmiast zabity przez tłum.

W portach ZRA istnieje specjalna „czarna lista” obejmująca statki, którym nie wolno zawinąć do któregośkolwiek z nich. Na ową listę wciągane są statki, które — choćby raz — zawinęły do któregośkolwiek z portów Izraela. W ostatnich dniach ogłoszono na przykład, że na listę wciągnięto liberyjski tankowiec „Memory”. Zawiózł on mianowicie ropę naftową do jednego z izraelskich portów.

Wiza iracka, jaką otrzymałem w Kairze opatrzona była dodatkową pieczęcią: „Niniejsza wiza straci swą ważność, jeśli jej posiadacz otrzyma następnie wizę izraelską”.

Tak wyglądają „stosunki” między krajami arabskimi a Izraelem.

IZRAELSKA SPRĘŻYNA

Pewien niemiecki dziennikarz, który był w roku 1956 w Izraelu, opowiadał mi w Kairze jak wyglądał wybuch



wojny izraelsko - egipskiej. Jego znajomy, taksówkarz z Tel Avivu otrzymał po południu polecenie od władz wojskowych, by o godzinie 10 wieczorem był w domu mając pod ręką samochód.

— Będziecie potrzebni na wypadek ćwiczeń wojskowych.

Stan gotowości i często powtarzające się ćwiczenia wojskowe nie są w Izraelu niczym niezwykłym, przeto taksówkarz specjalnie się nie zdziwił i przyjechał do domu przed oznaczoną godziną. O 10 zadzwonił telefon. Podano mu trzy adresy i kazano zabrać trzech ludzi. Cztery tam będą czekali punktualnie o godzinie 11. Taksówkarz wykonał rozkaz. Pod podanymi adresami czekało już nań trzech wysokich oficerów rezerwy. Ostatni z nich miał przy sobie zalakowaną kopertę zawierającą dalsze instrukcje dla szofera. Po jej otwarciu okazało się, że rozkaz brzmi: dotrzeć wraz z pasażerami do takiej to a takiej miejscowości i być na miejscu o czwartej czy piątej rano. Tym razem jednak kierowca się zdziwił. Podana w rozkazie miejscowość leżała już kilka kilometrów w głąb terytorium egipskiego.

Ale rozkaz jest rozkazem. Pojechali — i dojechali bez przeszkód. Miejscowość była już zajęta przez wojska izraelskie, a na przybyłych oficerów czekał łącznik, który zabrał ich do właściwych jednostek. Armia Izraela atakowała na całym froncie mobilizując rezerwy już w ma-szu.

Nie dziwnego, że Arabowie ze swym zacofaniem technicznym, ogromną ilością analfabetów wśród rekrutów, wreszcie niewątpliwym brakiem umiejętności organizacyjnych czują lęk i grozę wobec takiego przeciwnika, wspieranego na dodatek przez potencjał finansowy i przemysłowy największych państw imperialistycznych: USA, Anglii i Francji.

— Izrael jest jak sprężyna — mówią Arabowie — może uderzyć w każdej chwili i w każdą stronę.

Lęk ten ustępuje jednak wobec sukcesów odnoszonych w dziedzinie polityki zagranicznej przez Zjednoczoną Republikę Arabską, wobec klęsk prestiżowych, jakie Zachód poniósł na Bliskim Wschodzie w ostatnich latach i wobec faktu, że również armia ZRA jest intensywnie szkolona i unowocześniana.

„TRZEBA ICH ZEPCHNĄĆ DO MORZA...”

Rozmawiałem z bardzo wieloma Arabami zadając im to samo pytanie: jak wyobrażają sobie stosunki z Izraelem w przyszłości? Pytanie to ma bowiem decydujące znaczenie dla tych krajów. Póki nie znajdzie się rozwiązanie — nie można mówić o stabilizacji i trwałym pokoju. Nie można też myśleć o tym, by Arabowie mogli poświęcić wszystko swe sily i możliwości sprawie wydzignięcia swych krajów z zacofania.

W Egipcie za każdym razem otrzymywałem jedno-brzmiającą odpowiedź, tak do siebie podobną, że zacząłem podejrzewać, iż moi rozmówcy nie chcą być szerszy. Odpowiedź brzmiała:

— Nie można znaleźć żadnego rozwiązania kwestii izraelskiej, prócz jednego: trzeba ich wrzucić do morza.

Młody nauczyciel z Ghazy, gdzie jak wiadomo żyją od 10 lat tysiące uchodźców arabskich z Palestyny, opowiadał mi o okrucieństwach popełnianych przez izraelskich żołnierzy po zdobyciu miasta w roku 1956. Opowiadał mi też o bezprzykładnej nędzy w jakiej żyją uchodźcy wsielani jedynie (w sposób niewystarczający) przez specjalną organizację stworzoną przez ONZ Mieszkają w namiotach lub w barakach na pustyni i ledwie mają co jeść:

— They are starving — mówił. (Oni umierają).

Swoją opinię zakończył: — Izrael trzeba zepchnąć do morza.

To samo mówili inni Egipcjanie. Robiło to tym mocniejsze wrażenie, ponieważ wiadomo, iż w Egipcie żyje duża kolonia żydowska, że na przykład w Aleksandrii jest wielu Żydów lekarzy, adwokatów, kupców i że powodzi im się dobrze. Gdy byłem w Egipcie, miejscowi Żydzi obchodzili święto Nowego Roku. Prezydent Nasser wysłał na to święto do Ismailii, gdzie koncentrowały się nroczyści, swego osobistego przedstawiciela. Egipcjanie nie są antysemitami. A mimo to wszędzie otrzymywałem tę samą odpowiedź...

Przekonałem się później, że nie jest ona wyuczona, lecz szczerą, gdy usłyszałem to samo w Iraku i Syrii. Wszystkie moje próby wyciągnięcia z rozmów jakiegoś zarysu boga- daj idej pokojowego rozwiązania problemu, kończyły się zawsze fiaskiem. Owszem, istniały odcienie. Na lotnisku w Kirkuku, w Iraku zostałem wciągnięty przez oficerów kontrolujących ruch pa-

Typy arabskie w Egipcie



Rybaczy w Aleksandrii



Na lotnisku w Kirkuku. Z prawej: Zubair, w środku kpt. Rauf.

sażerski, w półtoragodzinną dyskusję przeplatana kawą i melonami. Gdy po wyczerpaniu wszelkich możliwych tematów, łącząc z wykładem o tym, że w Polsce nie ma króla, zadałem swoje stereotypowe pytanie — usłyszałem:

— Izrael trzeba zepchnąć do morza.

Powiedział to, bardzo zresztą inteligentny szeregowiec „dwójki” (jak mi sam oświadczył) Zubair. Lecz gdy tylko zdążył to powiedzieć, dowódca lotniska kapitan Rauf zaprotestował i wywiązała się między nimi gwałtowna dyskusja. Streszczono mi ją w sposób następujący:

— Izrael jest przyczółkiem mostowym i bazą imperializmu. Ale my chcemy rozwiązać sprawę w sposób pokojowy. W tym celu Izrael musi zerwać swe stosunki z imperialistami. Musi także przyjąć z powrotem arabskich uchodźców. Aby dla nich zrobić miejsce — musi odesłać emigrantów, którzy przybyli do Palestyny po roku 1948. Z tymi Żydami, którzy mieszkali tam przed rokiem 1948

będziemy mogli współżyć bez przeszkód. Przede wszystkim jednak Izrael nie może być narzędziem w ręku imperializmu

Oficerowie streśli więc poglądy, który przedstawiano mi we wszystkich rozmowach na temat Izraela.

— No dobrze — zapytałem — a jeśli powrót obywateli Izraela do krajów, w których mieszkali przedtem jest nierzalnym, to co wtedy?

W tym momencie wśród oficerów znów zapanowała jedność. Wskazali jednocześnie na pistolety:

—No, to trzeba ich zepchnąć do morza.

Jednocześnie przyszykowali na mnie pułapkę.

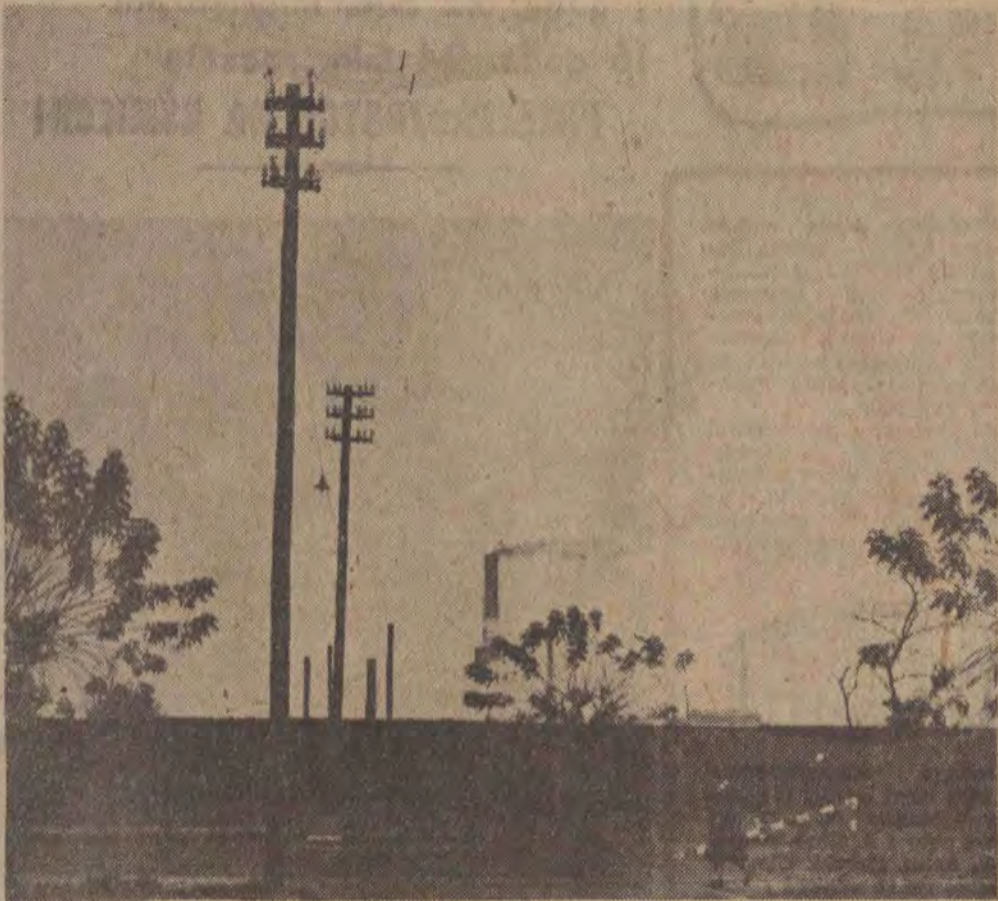
Ponieważ mówiłem słabo po angielsku, przeto nie od razu zorientowałem się o co chodzi.

— Myślę, że by się to wam nie udało — zaryzykowałem. Wydało mi się, że oficerowie

(Dokończenie na str. 9)

„KAMCZATKA” WOJEWÓDZTWA

(dokończenie ze str. 1)



Takie było pierwsze zetknięcie autora z Radomskiem

SIEDEM FLAG RADOMSKA

Pierwsze moje zetknięcie z przedstawicielami władzy na terenie Radomska nastąpiło w niezbyt zachęcających okolicznościach. Wraz z kolegą — fotoreporterem, waleśaliśmy się po mieście, poszukując punktu „zaczepienia”. Oczywiście, mżył deszcz, i oczywiście, po chwili ukazało się słońce. „Zrobimy zdjęcie” — oświadczył stanowczo kolega — fotoreporter. Przed nami rozciągał się malowniczy i dobrze znany czwernelkom polskiej prasy widok kominów fabrycznych, rzecz jasna dymiących kominów, lecz na pierwszym planie rosło samotne, zielone jeszcze drzewko, niezbyt pasujące do tego otoczenia. To drzewko właśnie urzekło kolegę — fotoreportera. Paru obywateli miasta przyglądało się bacznie jego czynnościom.

Po niespełna kwadransie siedzieliśmy w przytulnym lokalu (lokalu zwykle bywa przytulne) „Gazety Radomszczańskiej”, oczekując na jej sympatycznego redaktora. Ostre pukanie do drzwi przerwało sielankę. Wkraczał dostawny oficer milicji, usiłując nadać swą dobroduszną twarz bezmiernie groźny wyraz. „To panowie robili zdjęcie?” Udokumen-

towaliśmy naszą dziennikarską przynależność, oficer uśmiechnął się przyjaźnie i wyszedł, ku niezadowoleniu towarzyszącego mu cywila. My zaś byliśmy wzruszeni obywatelską postawą mieszkańców Radomska, którzy strzegą widać czujnie tajemnic swego miasta, skoro zaraz powiadomili kogo należy o pojawieniu się niesfornych ludzi z aparatem.

Nie obyło się najwidoczniej bez kilku telefonów, dzięki którym władze miejskie, a nawet powiatowe dowiedziały się o przybyciu dziennikarzy. Jak nam potem wyznano, wzbudziło to pewien niepokój; nigdy nie wiadomo, co takim przybyciem wpadnie do głowy.

Pragnę rozproszyć wszelkie obawy. I etap już inny — co najważniejsze — Radomsko nie zasługuje na zbyt ostrą krytykę. Zupełnie sobie przyjemne miasto; chociaż brudne trochę i zaniedbane. Jest to miasto z otwartą przybica — nie ukrywa swoich kłopotów, a nawet i antypatii. Będzie więc raczej mowa o różnych plagach tego sympatycznego grodu.

RADOMSKO CONTRA PKP

Pasażerowie pociągów pospiesznych, zmlerzających z

Warszawy na Śląsk, wiedzą coś niecoś o istnieniu Radomska; jest ono sygnałem, że przebyto już więcej niż połowę drogi. Jeżeliby jednak udało im się z okien pędzącego wagonu dojrzeć miny spacerujących po peronie mieszkańców grodu — odnieśli by niezbyt miłe wrażenie. Przyczyna jest dość prosta: radomszczanie oburzają się na autorów rozkładu jazdy, którzy nakazali ekspresom nie zatrzymywać się na stacji Radomsko. Oto i mamy pierwszy kamień obrazy. Na ile uzasadnionej?

Od zarania kolejnictwa trwa cicha, uparta walka pomiędzy ambicjami małych miast a ambicjami rozkładów jazdy. Dla kolei szybkość pociągów pośpiesznych jest sprawą honoru. Honor mieszkańców — w tym wypadku Radomska — wymaga, by pociąg te zatrzymywały się na ich stacji. Człowiekowi niewprowadzonemu w sprawę trudno wręcz uwierzyć, ile emocji wyzwała się przy okazji takiego sporu, ile gorczy wywołuje widok sznura eleganckich wagonów, mijających ukochnane miasto.

Radomsko prowadzi więc swoją świętą wojnę i — oprócz honoru — posiada również bardziej prozaične, lecz za to rzeczowe argumenty. Ruch podróźnych

jest wielki i rzeczywiście trudno pojąć, czemu w środku nocy ekspresy mogą stawać w Radomsku, a w dzień nie mogą, jeśli zważyć, że nikt nie jeździ nocą, skoro podróż z Radomska do stolicy trwa dwie i pół godziny, a na Śląsk — półtorej.

Oczywiście, cała sprawa nie należy chyba do najważniejszych. Wprowadza jednak od razu w atmosferę miasta — miasta o dużych ambicjach, a jednocześnie pełnego gorczy, że nie jest dostatecznie cenione i uznawane. Przekonanie to graniczy już po trosze z kompleksem, powodującym wiele nieznośności. Główna batalia toczy się o przyznanie Radomsku „statusu” miasta wydzielonego.

DIWNA MOZAIKA

Proszę sobie wyobrazić ponad dwudziestopięcioletnie miasto, którego gospodarze nie mogą zdecydować o przydziale działki budowlanej. Tak jest właśnie w Radomsku.

Powiat typowo rolniczy, zresztą bardzo dobrze zagospodarowany; jedynym miastem w powiecie jest stolica — Radomsko. Grod przemysłowy, o silnej dynamice wzrostu; ponad trzy tysiące ludzi dojeżdża do pracy z okolicznych gromad. Powiatowa Rada, zupełnie słusznie skupiając uwagę na sprawach rolnych, nie jest w stanie pokierować rozwojem miasta. Miejska Rada nie ma po temu uprawnień. Rezultat: Radomsko rozwija się chaotycznie, brak pieniędzy na najbardziej prymitywne urządzenia komunalne (dopiero w tym roku zaczęto coś robić przy kanalizacji), nie ma linii autobusowej. Cały budżet MRN wynosi 11.480.000 złotych(!). Bogate zakłady produkcyjne nie są zobowiązane do żadnych świadczeń na rzecz miasta.

Istnieją w Radomsku ulice, które po jednej stronie leżą w granicach miasta, po drugiej zaś — w granicach okolicznych gromad. Niektóre gromady zostały całkowicie ogarnięte przez miasto; stały się faktycznie jego częścią, lecz wciąż stanowią odrębne jednostki administracyjne. Przedziwna mozaika, pełna sprzeczności i absurdów. Na terenie tych czterech przedziwnych gromad nawet połowa ludności nie zajmuje się rolnictwem.

Miasto nie posiada swojego urbanisty ani geodety, ani architekta. Przyjeżdżają urzędnicy z Warszawy, szukają urbanisty i nie chcą wierzyć, że nie ma takiego stanowiska. Ale w MRN nie ma nawet referatu gospodarki komunalnej ani referatu przemysłu czy handlu. W budżecie brak w ogóle sum na cele kulturalne. Długo można by ciągnąć listę tego typu kwiatków.

Nie więc dziwnego, że sprawa wydzielenia miasta uważana jest za warunek wstępny jakiegokolwiek działalności. Spór ma wieloletnią tradycję. Obecnie, gdy

Radomsko liczy 26 tysięcy mieszkańców, a łącznie ze wspomnianymi „gromadami” — 33 tysiące — jest jedynym tej wielkości niewydziałonym miastem w kraju. „Łódź” sprzeciwia się wydzieleniu. Oto i dlaczego „Łódź” jest głównym antagonistą.

Przeciwnicy wydzielenia powołują się na jeden tylko argument: koszty administracyjne. Przedstawiciele MRN wywodzą, że poprzez likwidację szeregu etatów w powiecie oraz zniesienie o-wych gromad — wzrost kosztów może być minimalny. Jest to zresztą niewspółmier-na rzecz wobec sprawy właściwego rozwoju miasta

PREZES SĄDZI

„Pozwólcie nam myśleć” — powiedział sekretarz Rady Miejskiej i zdaje się, że te słowa odzwierciedlają nastroj wielu ludzi w Radomsku.

Przez dwa lata trwały debaty nad lokalizacją szkoły. Były — rzecz rzadka — pieniądze i materiały. Chodziło o miejsce. Właściwie i miejsce było — właściciel tartaku na terenie powiatu, choćby i nieurodzajna, byleby tylko mógł przenieść tartak. Ale rozstrzygnięcie leżało już w gestii WRN w Łodzi. Minęły dwa lata... Wiele narwało się spraw tego rodzaju.

Kamczatka województwa — powiedzenie to powstało w czasie, gdy w Łodzi liczone się z „odejściem” Radomska. Mówiło się wówczas o województwie częstochowskim, ewentualnie o Śląsku. Oczywiście nikt nie ma chęci inwestować w taki niepewny powiat. Zresztą radomszczanie, powiązani licznymi interesami i świetną komunikacją ze Śląskiem, od dawna już spoglądają na południe.

Najbardziej odbiło się to wszystko na kwestii mieszkaniowej. W dość oryginalnych warunkach działają niektóre instytucje. Śąd Powiatowy mieści się w części starej czynszowej kamienicy. Tłumy ludzi koczują na schodach. Z braku sal, rozprawy odbywają się równie w maleńkim gabinecie prezesa. Stoliczek wędruje na bok, ustawia się niezbędne choć symboliczne w tym wypadku „lawy”, prezes wyciąga z szafy togi i zaczyna sądzić za swym biurkiem. Cóż, kiedy przez boczne drzwi, tuż obok owego biurka, co chwila zaglądają z sekretariatu niepoprawnie interesanci. Gdy zabraknie im orientacji lub poczucia taktu, wołają od drzwi „dzień dobry panie prezesie”, albo co gorsza „czolem Jasłu”, wyciągając przyjaźnie rękę na powitanie. Prezes nie odpowiada, lecz rozprawa toczy się dalej w atmosferze nieco familijnej — bynajmniej nie z winy sądu. Miejscowe władze wykroły nieco pieniędzy na budowę

sądu, ale Ministerstwo Sprawiedliwości nie chciało się do tego przysłużyć i sprawa upadła.

BIEDNE CZY BOGATE?

— Czy wie pan, dlaczego radomszczanie są tacy ruchliwi? — zapytał zniechęca redaktor miejscowej gazety. Przyznałem, że trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. — Bo widzi pan, jeżeli chcą potaćzyć, muszą jeździć do Piotrkowa lub do Częstochowy...

Kanalizacja, komunikacja, granice, urządzenia komunalne, brak samodzielności, mieszkań — o tym była już mowa... „Bez sensu soboty i niedzieli” — jak się tu określa — stanowi siódną plagę Radomska.

W tym dużym mieście nie ma żadnej sali, w której mogłyby się odbywać imprezy kulturalne; nie działają kluby; nie ma nawet spotkań i dyskusji. Istnieją jedynie knajpy trzeciej kategorii, o wyglądzie, jakiego nie chciałoby się życzyć gospodarzom w najbardziej zapadłym kącie. Wypadki do częstochowskiej „Polonii” lub piotrkowskiej „Europy” stanowią dla bardziej aktywnych dnia rozmaitość. Czasem jeździ się do teatru.

Gdy więc zapowiedziano w Radomsku seans „Trędowatej” radość była powszechna. Ludzie zabijali się o bilety. Nawiasem mówiąc rozczarowanie było nie-malejsze od entuzjazmu, gdyż specjalny wysłannik nie przywiózł filmu z Warszawy.

Czekają więc teraz wszyscy na od dawna zapowiedziane otwarcie kawiarni (z dansingiem) „Stylowa”, która ma być główną atrakcją miasta.

Przy tym wszystkim Radomsko jest wielkim ośrodkiem przemysłowym. „Miastem dewiz”, jak je niektórzy nazywają. Bo proszę o to Rameg, największa fabryka mebli giętych w Europie, eksportująca swe wytwory do USA, ZSRR i 18 innych krajów. Fabryka specjalnych maszyn młynskich, produkująca głównie dla zagranicy. Fabryka maszyn Radomsko, jedyny w Polsce zakład, wytwarzający turbiny, również eksportowane. A potężna „Komuna Paryska”? A spółdzielnia mleczarska, sprzedająca masło do Anglii?

Radomsko należy do wyjątkowo twórczych miast, nie przypomina w niczym leniwych, polskich miasteczek. Jednocześnie ścieki płyną ulicami, robotnicy chodzą kilometrami piechotą, dzielnicą Kowalowiec nie posiada dróg ani świątln. Ludzie duszą się z nudów. Biedne czy bogate miasto?

Człowiek niejedno widział, z niejednego pieca chleb jadł — a jednak trudno mu to wszystko zrozumieć.

ANDRZEJ WASILKOWSKI

ISKRY wśród nafty

(Dokończenie ze str. 8)

wie przyjął odpowiedź z satysfakcją:

— A właśnie — potwierdził — a syjonistów przyszedł do nas i zabrał nam naszą ziemię. To trzeba ich wyrzucić, no nie?

Rzeczywiście sprawiali wrażenie ucieszonych. Tylko mnie wcale nie było wesoło, choć nie jestem ani syjonista, ani Arabem.

WSCHÓD BLISKI — ALE NIE DLA WSZYSTKICH

Rozmawiałem na ten temat także z przywódcą Partii Ludowej i czołowym działaczem irackiego ruchu obrońców pokoju — Azizem Szerifem, człowiekiem o bardzo pięknej historii, wiele szanowanym w tym kraju za stałość swych demokratycznych przekonań. Zapytałem, jakie jest stanowisko w tej sprawie ruchu obrońców pokoju.

Widziałem, że odpowiedź nie przyszła łatwo, i że trąbił w chyba najtrudniejszy problem ruchu. Przedstawiała się ona mniej więcej tak:

Obrońcy pokoju w Iraku są oczywiście przeciwni wojnie, zwłaszcza agresywnej, imperialistycznej. Jednym z ich głównych zadań jest demaskowanie obłudnej propagandy uprawianej przez

koła zainteresowane w napięciu międzynarodowym, demaskowanie ich planów i zamiarów. Tak więc obrońcy pokoju w Iraku występują przede wszystkim przeciw propagandzie Izraela, który jest na tym terenie główną ekspozyturą imperializmu. Kiedy Izrael obłudnie mówi, że pragnie pokoju z Arabami, oni demaskują to kłamstwo. Wszyscy przecież wiedzą doskonale, że Izrael jest narzędziem szantażu w stosunku do państw arabskich.

W roku 1956 delegat Izraela przemawiał na Kongresie Obrońców Pokoju w Sztokholmie i przedstawił Izrael jako państwo na wskroś pokojowe — a w tym samym czasie jego rząd rozpoczął agresję przeciw Egiptowi. Izrael był przeciwny ewakuacji Anglików z Egiptu (jeszcze przed agresją z roku 1956). Popierał pakt bagdadzki. Dlatego kłamstwem jest

twierdzenie, że chce on pokoju — i oni, obrońcy pokoju, starają się uzmysłowić to narodowi arabskiemu. Są oni za pokojowym rozwiązaniem sprawy na zasadzie powrotu uchodźców do Palestyny i ewakuacji tych Żydów, którzy przybyli tam po roku 1948. Pozostałym Arabowie gotowi są zapewnić autonomię w ramach federacji.

Tak brzmiała w streszczeniu odpowiedź kierownika ruchu obrońców pokoju w Iraku. Wynika z niej jak i ze wszystkich rozmów przeprowadzonych przeze mnie na ten temat z Arabami, iż szanse znalezienia rozwiązania problemu pokojowego współzycia Izraela z Arabami — są nikłe.

Oczywiście można mieć wiele zastrzeżeń do takiego sposobu rozumowania. Jego najslabszą stroną jest niezdolność uznania pewnych faktów, które się dokonały i

upieranie się przy koncepcji przywrócenia stanu sprzed 10 lat, to jest likwidacji istniejącego niewątpliwie państwa i ewakuacji większej części jego ludności, co jest celem nieosiągalnym. Cechuje ten sposób myślenia duży brak realizmu politycznego. Ale faktem jest, że w najbliższej przyszłości nie można się spodziewać odprężenia stosunków w tej dziedzinie.

Sprężyna jest ciągle napięta.

W tej sytuacji Anglia oficjalnie oznajmiła, że dostarczy Izraelowi wielkich ilości broni, z łodźmi podwodnymi włącznie. Pragnie ona w ten sposób zapewne zastraszyć kraje arabskie i wywołać uczucie niepewności, podważyć pozycję ZIRA i Iraku oraz zachować tą drogą swe wpływy. Ale zbiera w zamian jeszcze gorętszą nienawiść Arabów, których wrogle dla Anglii uczucia i tak

już nie potrzebują zastrzyków wzmacniających.

Wątpię, czy na dłuższą metę taka polityka opłaci się Anglii. Nie sądzę, by mądre było jątrzenie i tak zaognionej sytuacji, zamiast próby oparcia swej pozycji na wspólnej pracy, której państwa arabskie tak bardzo potrzebują. Ale Anglia wsparła swą bliskowschodnią politykę na pięści i nie zamierza jej zmienić. Myślę, że w rezultacie, po pewnym czasie zdrętwienie Anglii ręka. Pozwólcie mi rezultatów taka polityka nie da i dać nie może. Spowoduje najwyżej, iż Bliski Wschód stanie się dla Anglii jeszcze dalszy niż teraz. Po prostu — poza zasięgiem jej ręki.

K. DZIEWANOWSKI

odgłosy str 9



Profesor Hirth, znany psychiatra zachodniemiecki, przez dłuższy czas prowadził badania w celu otrzymania odpowiedzi na następujące pytanie: dlaczego przeciętna wzrostu ludzkiego podniosła się w ostatnich dziesięcioleciach w paru krajach Zachodu. Profesor doszedł do wniosku, że przyczyną jest oglądanie telewizji i słuchanie radia w skali masowej. Aparaty radiowe i telewizyjne — zdaniem uczonego — wytwarzają pole magnetyczne, pobudzające w dużym stopniu działalność gruczołów wzrostu.

Nie wiem oczywiście, czy hipoteza profesora Hirtha zostanie potwierdzona przez badania innych naukowców. Jednakże diagnoza uczonego zwraca uwagę na niesłychanie ciekawą kwestię: wpływ współczesnej techniki i stylu życia na organizm ludzki, zarówno gdy chodzi o jego rozwój fizyczny jak i duchowy. Tu nie ma żartów, proszę państwa, ów styl życia jest wprowadzić własnością obecnego pokolenia, ale jego skutki mogą być obserwowane dopiero w skali wielu pokoleń. Czy dziecko, które od pierwszych chwil stanu świadomości obserwuje w ekranie telewizora świat włącznie z jego najbardziej drastycznymi sprawami, czy przyszłe społeczeństwo, złożone z takich dzieci będzie takim samym, jak obecne? Ilość wrażeń odbierana stale przez przeciętnego chłopca czy dziewczynkę w przodujących krajach nie da się porównać z młodością obecnego pokolenia dorosłych. Nie dziwnego, że rzeczy proste już nie bawią, że trwa pogon za wyrafinowaniem.

Bazar

GO



Pięcioletni książę Mashur Ibn Saud zaręczył się z trzyletnią córką bogatego Egipcjanina. Komentując to wydarzenie sekretarz księcia, Ben Yaz'id, oświadczył iż „jest to młodość od pierw-

Nie wiem, czy drakońska dawka cywilizacji, aplikowana od najwcześniejszych lat, poszerzy chłonność umysłu i psychiki ludzkiej, tworząc społeczeństwo geniuszów, czy też doprowadzi do wręcz odwrotnych skutków. Pewne jest to, że nie tylko technika, cywilizacja, ale i sam człowiek stanie w przededniu nieobliczalnych przemian.

A może to i dobrze, że nam one chwilowo nie grożą?
OBSEJONISTA

szego wejścia”. Nasze zdjęcie przedstawia księcia Mashura w czasie wizyty w Kairze. Są to jeszcze zabawy przedmażeńskie.

Pod freskami w starym kościele z XV wieku konserwatorzy odnaleźli malowidła obrazujące dość wyuzdane sceny erotyczne. Kościół natychmiast zamknięto. Rzecz dzieła się w Danii, w miejscowości Taaning.

29-letnia urzędniczka policji w Middlesbrough Anglia, nazwiskiem Margaret Gray, zrezygnowała z pracy z powodu romansu z kryminalistą.

Co to jest życie?

Dedykujemy lirycznym poetom
Oto ścisła definicja profesora uniwersytetu w Harvard, Harlow'a Shapley'a:

LO

„Przez życie rozumiemy... proces biochemiczny oparty na węglu i azocie, a posługujący się wodą w stanie płynnym”.

Pomysły

Na kongresie hodowców chryzantem w Lille wygłoszono referat na temat zastosowania promieni radioaktywnych kobaltu w celu zmiany koloru tych kwiatów.

Zamieszkałe w Izraelu

matęstwo Alusz nadało swemu synowi imiona Jehuda de Gaulle'a, zawiadamiając o tym premiera Francji. W dępszy swej generał de Gaulle napisał: „Krok ten przyczyni się do zacieśnienia przyjaźni Francji z Izraelem”.

Na pokazie w Nowym Jorku pokazano publiczności nowy typ obuwia damskiego: małe żarówki, umieszczone w obcasach, zapalają się przy każdym stąpieniu.



Badania przeprowadzone w 1934 roku wśród Eskimosów wykazały, iż mają oni starte zęby i b. silnie rozwinięte dolne szczęki. Obecnie okazało się że mięśnie szczęki dolnej zmniejszają się. W 1934 roku Eskimosi nosili jeszcze skórzane buty i żuł skórę by ją zmiękczyć. Obecnie noszą buty gumowe. Zagadkę tę wyjaśnił dr Gressin na posiedzeniu francuskiej akademii nauk.

Doświadczenia przeprowadzone w Ameryce wykazały, że najlepszym filtrem dla papierosów jest ser, na którym osadza się największą ilość nikotyny i dziegciu. Trwają obecnie prace nad wytworzeniem sera pozbawionego zapachu.

NO...

„...Śmiech to zdrowie zapamiętaj sobie to...”

Czy wiesz ile tracisz nie czytając BAZARU?

42 min. tygodniowo
1 godz. 22 min. miesięcznie
16 godz. 24 min. rocznie

PRZEZNACZONYCH NA UŚMIECH!



Matador Luis Miguel Domingaina wraz z żoną

Racjonalnie wykorzystaj godziny pracy biurowej!



Spróbuj sam! Nadesłane przez Czytelników rysunki, wykonane na maszynie do pisania, będziemy zamieszczać w tym kąciuku.

POMYSŁ MR. LEVISA

Panie Redaktorze!

Zaczęło się od ogłoszenia w jednym z wrześniowych numerów amerykańskiego Life. Roześmiana buzia 15-latkę, biegnącego z książką w ręku. I wśród obszernego tekstu wyeksponowano słowa: „FARAH of Texas GOLD STRIKES”. Ogłoszenie bowiem dotyczyło spodni, u nas popularnie farmerkami zwanych.

Syn mój, który edukację języka angielskiego na sylabizowaniu dużych liter reklam Life uzupełnia — rozpoczął kilkudniową ofensywę. Wejść powtarzany był refren: „Takie spodnie — moje marzenie”... Nie wytrzymało serce ojcowskie. Napisałem do kolegi uniwersyteckiego, który od długich lat mieszka w Chicago. Ostatecznie — pomyślałem — cena spodni 2.98 dolara nie powinna — jak to się u nas mówi — zachwiać równowagi jego budżetu miesięcznego. „Prześlij chłopakowi spodnie, takie jak w ogłoszeniu” — tak napisałem.

I oto stało się. Nadeszła przesyłka. Zapłaciłem 41 zł cła (za spodnie! Panie Redaktorze).

A wraz z przesyłką nadszedł list, z którego dowiedziałem się, że... ale właśnie o tym chciałem, Pana, Redaktorze powiadomić.

Było to w czasach wygasania gorączki złota w Ameryce. Gdzieś z końcem lat trzydziestych. W Kalifornii i w Alasce pustoszyły osiedla poszukiwaczy. Pozostawali tylko wielcy zapalający tacy, co to byle czym zniechęciło się nie dawa. Wśród nich byli i kupy. Ci w swoim czasie ścigali na te tereny z dowarem i wobec gwałtownego ubytku poszukiwaczy złota z zapasem towarów pozostali. Znalazł się między nimi niejaki mr. Levis. W swoim czasie przewidując duży zbytni na brezent dla okrywania wozów, na namioty, nieprzemakalne płachty i zasłony, czy też na worki — sprowadził duże ilości tego towaru. No i z tym — jak to określa nasza aktualna nomenklatura — remanentem został.

Powstał problem: co z tym fanatem zrobić?

Wskutek braku klientów, wskutek spadku popytu, bankructwo rysowało się przed

mr. Levisem o wiele wyraźniej, aniżeli miraż żyła złota przed wytrwałymi poszukiwaczami.

Wpadł wreszcie mr Levis na pomysł. Uszył z tego brezentu kilka par spodni. Naszył 4 kieszenie, mocno je przyszył i dla pewności wzmochnił kilkunastoma metalowymi sztyftami.

Pomysł okazał się lepszy niż najlepsza żyła złota. Bardzo szybko spodnie te zyskały powszechność. Mr Levis ledwie mógł nadążyć z ich fabrykacją. Błyskawicznie upłynął „remanent” i zaczął sprowadzać coraz to większe i większe ilości brezentu.

Dzisiaj jest to, jak Panu, Redaktorze wiadomo, narodowy strój Ameryki. W szkole, na uniwersytecie, w fabryce i na farmach, a nawet w biurach młodzież obojęta płci nosi takie spodnie. Idealny ubiór. Trwały, praktyczny no i młodzieżowy, Panie Redaktorze.

Obecnie, w Ameryce wiele firm produkuje tego rodzaju spodnie, ale „levisówki” dzierzą prym. Od dziesięciu lat atakują rynki europejskie.

Nie potrzebuje chyba dodawać, jak wielką uciechę spodnie te sprawiły memu synowi. I myślę, że Pański syn, Redaktorze, już wkrótce upomni się o „farmery”. W przewidywaniu tego faktu skreśliłem tych kilka słów. Bo idzie o to. Szanowny Redaktorze, by posłódź Pan pełną orientację w tym, bądź co bądź dla naszych pociech ważnym problemie. Zobacz Pan, jaka radość sprawi Pan

wówczas swemu chłopcu. Zapewnia Pana o tym

JERZY ŁANCUT.

P. S.

Przesyłam Panu wycinek z Life, który stał się początkiem całej sprawy i oryginalną naszywkę, przysywaną do spodni mr Levisa.

J. L.



Redaguje Zespół. © Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”. © Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98, Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca. © Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Historioze oraz PUPIK „Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17, Konto PKO — Łódź 7 — 6-379 z oznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 11, Z. 2346, XI, 58, M-4.

WYTNIJ - SCHOWAJ!

SENNIK Egipski

DALSZY CIĄG

B.

- Babę widzieć — kłótnia w małżeństwie. 90.
- Bać się — poznać fałszywych przyjaciół. 13.
- Bachus — zdobycie majątku i miłości. 3, 12, 42.
- Bagaże wojskowe zabierać — wypowiedzenie miejsca. 4, 37, 77.
- Bagno — upicie się. 27, 46.
- Bakalarzem zostać — pomnożenie potomstwa. 51, 79.
- Balkon, spaść z niego — zniszczona nadzieja i niebezpieczeństwo. 78, 84, 88.
- Bankrutować — niespodziane uwięzienie. 35, 75.
- Banknoty lub inne papiery otrzymać — strata w handlu. 37, 51.
- Baranię jeść — być świadkiem zabójstwa. 48, 88.
- Barłog — wysokie dostojęstwo. 5, 15, 75.
- Baron — utrata kredytu. 31.
- Baszą być lub widzieć go — miła znajomość z kobietą. 6, 26.
- Baterie widzieć — duże zamieszanie w domu. 77.
- Bazyliżek — zdrada przez kobiety.
- Berło w ręku trzymać — ważny urząd piastować. 26, 33.
- Bibula — pogrzeb. 2, 31, 59.
- Bić kogo — zawładnąć się w spory. 11, 77.
- Bież — smutna przygoda. 25, 27.
- Biegunkę mieć — lekka słabość. 11, 29.
- Biodra ludzkie widzieć — choroba i śmierć. 38, 80.
- Biłwą stoczyć — kłótnia z dłużnikami. 20.
- Blondynkę kochać — zdrada w miłości. 57.
- Bór gesty widzieć — spotkanie się ze złodziejami. 4, 54, 74.
- Bransoletka — bliska zmiana stanu. 17, 49.



PIANIA K. Z BRZEZIN:
Jeżeli dotychczasowe docho-
dzenia nie wykryły spraw-
ców kradzieży, dla dobra
sprawy winna Pani dopo-
móc w poszukiwaniach, sto-
sując, wypróbowaną przez
stareżytnych metodę tzw.
„Axinomancji” — czyli za
pomocą „siekierki i klejdo-
mancji” — za pomocą klu-
cza, Axinomancja polega na
wbiciu siekierki w ziemię w
ten sposób, aby drzewce sta-
ło prostopadłe do ziemi, po-
czym osoby okradzione oto-
czywszy wokół siekierki o-
bracają się w największym
pędzie wokół. Na którą stro-
nę siekierka upadnie w tej
należy szukać rzeczy skra-
dzonej. Znajac klerunek
przystępujemy do „klejdo-
mancji”; zwinęta kartkę z
wypisanym imieniem osoby
podejrzanej wkładamy do
połowy w dziurkę od klucza
zawieszzonego przy Biblii,
która trzymać powinna pięć-
nastoletnia (!) dziewczynka.
Następnie poszkodowana
wymienia echem imię osoby
podejrzanej, przy którym
klucz zadrgnie, będzie to
wskaźniczka wszechła poszu-
kiwan.

Zyczymy pomyślnych re-
zultatów.

Nie mamy się czego wsty-
dzić — jeśli chodzi o polski
humor rysowany. Udowad-
nia to dorobek wielu na-
szych karykaturzystów, tych
ze stolicy — i tych z pro-
wincji... Udowodnia to także
wydany ostatnio katalog
żartów „Karuzeli”.

Dobrze, że przelamany zo-
stał długoletni monopol
„Szpilek”, że powstała „Ka-
ruzela”, która potrafiła zdo-
być się na własny, oryginal-
ny profil. I mylą się ci, któ-
rzy chcą w „Karuzeli” wi-
dzieć kontynuację tradycji

Najostrzejsze ołówki świata

ników „Karuzeli”: Karola
Baranieckiego, Ibis-a-Jan-
kowskiego, Ibis-a-Gratkow-
skiego, i Józefa Skoniecz-
nego.

Myślę tu głównie o jed-
nym ważnym osiągnięciu
„kwartetu” karykaturzystów
— o połączeniu pomysłowa-
ści z prostotą. Bynajmniej
niełatwo jest zaskoczyć
nieoczekiwanym skojarze-
niem, sprytną pointą żartu,
a jednocześnie pozostać zro-

jest niezłym dowodem sku-
teczności tych poszukiwań.

Zresztą i tak zasadnicze
problemy „wielkiej polity-
ki” nie przeważają w zbior-
ku. Spośród 105 rysunków
i karykatur znaczna więk-
szość dotyczy zagadnień o
wiele bliższych naszej skó-
rze: malwersacji, alkoholiz-
mu, kacykostwa — a na-
wet... populacji. No i jest
oczywiście duża liczba żar-
tów, które niczego nie za-
łatwiają, z niczym się nie
rozprawiają — poza inten-
cją rozśmieszania.



Miśo Wies

KATALOG

„Muchy”. Podobieństwo obu
pism można uznać tylko w
jednym punkcie — w posta-
wieniu na popularność, przy-
stępność, w odcięciu się od
aluzyjnej satyry rzędu „wyż-
szego wianiemienia”. Hu-
mor łódzkiego pisma jest
przystępny, ale nie za każdą
cenę, unika prymitywnych
łatwizn typu nieznośnych
imitacji gwary przedmieść,
typu „gadek na chłopski ro-
zum”.

To wszystko cechuje też
demonstrowane w „Rewii”
prace czterech rysowników
— czołowych współpracow-

zumiąłem, czytelnym... Do-
dajmy jeszcze jedno, kary-
katurzysta musi dziś ciągle
odzyskiwać u odbiorcy
kredyt zaufania, naruszony
wulgarnym i prymitywnym
dorobkiem lat poprzednich:
wszystkim przejadły się
wyświechtane symbole im-
perialistów w postaci zna-
czka dolarowego czy re-
wolweru w kieszeni. Dla
tych samych często treści
trzeba dziś koniecznie szu-
kać nowych skojarzeń, no-
wych symboli.

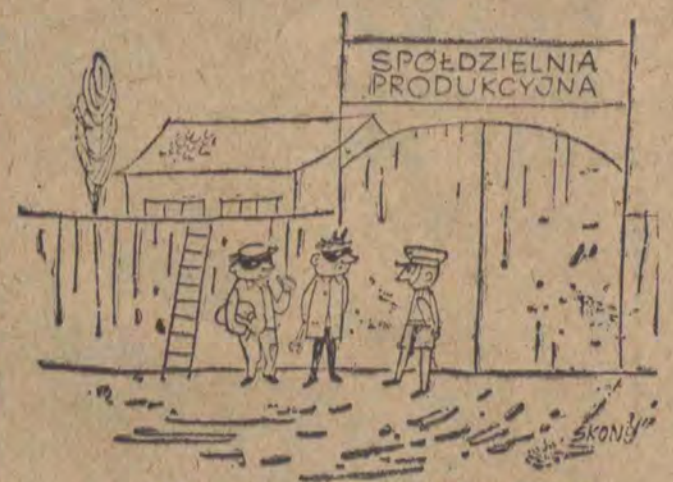
I powiedzmy sobie szcze-
rze — „Rewia Karuzeli”

I to jest zresztą naj-
ważniejszym osiągnięciem
„Rewii”. Bez względu na
temat, niezależnie od tego,
czy czterej karykaturzyści
naciśkają klawisz spraw
ważnych czy blahych —

KARUZELI

wszystkie ich żarty są
śmieszne.

Niemale osiągnięcia, jeśli
się żyje wśród ludzi, którzy
niezbyt lubią się śmiać, a
już wcale — z samych sie-
bie. J. W.



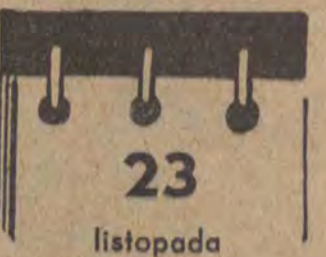
— Chcieliśmy naprawdę wstąpić do spółdzielni



— Kup pan fiolki...

LUNAPARK

Złota myśl Cezarego Cwie-
ja: „Cóż głupiemu po rozu-
mie, skoro go użyć nie umie?”



Klemensa, Felicjty.



23 listopada — 22 grudnia to
okres wpływów konstelacji
zwanej łuczniczkiem albo
strzelcem. Indywidualności
ludzi urodzonych w tym
dniu podobne są do łucz-
nika, który ciągle wpatrzy-
ny jak sroka w kosę w od-
ległym celu, nigdy go nie
trafił z oczu; człowiek uro-
dzony 23 listopada niezło-
mie wierzy, iż nawet w
wypadku gdy zabamie bije,
on, ten człowiek, cel ten o-
siągnie. Więc jeśli człowiek
urodzony w dniu 23 listopa-
da stara się m. in. w or-
dzie kwaterunkowym

mieszkanie, to je uzyska
nawet na łożu śmierci,
jeśli swego celu (mie-
szkania w blokach, czy
suchego nieprzewlewnego po-
mieszczenia w innych budyn-
kach mieszkalnych) nie bę-
dzie z oka swego spuszczał.
I osiągnie ten cel — nawet
po dziesięcioleciu odprawi-
ny z prośbami (o ponowne
zwrócenie się do urzędu w
terminach do ponownego
zwrócenia się przeznaczonych),
żeby nawet odpowiednie
dni urzędnik klekał na śro-
dku podłogi i zaklinał się na
wszystkie świętości, że wszy-
stkie mieszkania są już za-
rezerwowane, zajęte przez
dżekich lokatorów lub nie
nadają się do natychmiasto-
wego użytku, jeśli przedsta-
wi dowód, że jest urodzony
23 listopada, a więc pod zna-
kiem łuczniczki czyli strzelca.
(Nie mylić z przedwojenną
organizacją paramilitarną
„Strzelec”!).

Człowiek urodzony pod
tym znakiem jest bowiem je-
dnostką sprawiedliwą, wię-
c w sprawiedliwość i, po-
mimo to, że jest obciążony
skłonnością do nadużyć zmy-
słowych i wampiryzmu mi-
łosnego, to ta wiara zawsze
mu dobrze płaci.

Dalszy ciąg horoskopu
człowieka 23 listopada — 22
grudnia w następnym nume-
rach.

Lunapark redaguje Zyg-
munt Fijas. Adres redakcji:
Łódź, Piotrkowska 96. Listy
prosimy kierować: „Odgło-
sy” z adnotacją: „Dla Luna-
parku”.

Erotyzm w filmie

(Dalszy ciąg powieści filmo-
wej „Trędowata”. Akt 10:
Sapierona).
KAMERDYNER BOMBA:
Przytul się do mnie, Stefa.
STEFANIA: Sapieronie ty
mój!
(Trwają z ustami bezgło-
śnie zwartymi i rękami za-
plecionymi na szyjach. Z
daleka dochodzi namiętny od-
głos ludzkiej pracy w PGR
i coraz namiękniejsze płenie
pięści dziewcząt w atlasach:
Ba miłość to skrzydło
motyla,

co tohnienie wiosny umla,
śpiewników dziewczki
wydawanla
o bezpamięci kochania.
Ela li tań la, li tań,
o bezpamięci kochania.)
BOMBA (rozklada koc):
Kwicie pachnie.
STEFANIA: Adyć, sapie-
ronie mój!
BOMBA: Co „adyć”?
STEFANIA: Haftka mi trza-
sła w penluarze.
BOMBA:!?
(Dalszy ciąg w następnym
numerze).



CZYTELNIKU • SŁUCHACZU •

1. Znajdź 5 błędów w niniejszym (39) numerze „Odgłosów”.
2. W którym roku powstała rozgłośnia radiowa w Łodzi?
3. W którym roku uruchomiono Telewizję Łódzką?
4. Jakie jest najstarsze miasto w województwie łódzkim (w jego obecnych granicach) i kiedy zostało założone?
5. Wymień trzy zabytki historyczne w Łodzi.
6. Wymień tytuły pism wydawanych przez Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”.
7. Wymień trzech wybitnych reżyserów filmowych, wychowanków łódzkiej Szkoły Filmowej.
8. Wymień trzech znanych ludzi sztuki (aktorzy, literaci, malarze itp.) którzy opuścili Łódź w ciągu ostatnich trzech lat.
9. Jakie zajmują stanowiska (czym się zajmują) następujący popularni łodzianie: Jadwiga Andrzejewska, Eugeniusz Ajnenkiel, Henryk Czyż, Kazimierz Dejmek, Edward Kaźmierczak, Henryk Szczepański i Jan Szezepański?
10. Ile lat trwa budowa Teatru Narodowego w Łodzi?

TELEWIDZUI

ODPOWIEDZ NA POWYŻSZE
PYTANIA!
NADEŚLIJ ODPOWIEDZ
DO „ODGŁOSÓW” (w koper-
cie z napisem „Wielki Kon-
kurs”, na adres: Łódź, Piotr-
kowska 96, w terminie do
1 grudnia br.)
A WYGRASZ
CENNA NAGRODĘ.
Niezależnie od tego czy wy-
grasz czy nie wygrasz tej
nagrody będziesz mógł u-
czestniczyć w następnych
etapach.
WIELKIEGO KONKURSU
„ODGŁOSÓW”.
RADIO I TELEWIZJI.
Na razie nie myśl o nagro-
dach, które są naprawdę
atrakcyjne. Myśl o pytaniach
i odpowiedziach.



EDWARD EBER

ŻOŁNIERZ KRÓLOWEJ...

„Mój ślub z Dirkiem Bogardem przyniósł mi same kłopoty“ (YOKO TANI)

Ślub oczywiście „filmowy”, będący kulminacyjnym momentem filmu „Wiatru nie umie czytać” („The Wind Cannot Read”). Jest to adaptacja powieści Richarda Masona. Adaptację przyrzędził twórca słynnego „Mostu na rzece Kwai” — sam Dawid Lean. Miał on też zostać reżyserem filmu, ale zatarg z angielskimi władzami finansowymi nie pozwolił mu na swobodne poruszanie w granicach tego kraju — (gdzie przewidziano 7 tygodni zdjęciowych) — gdyż agenci skarbowi czyhający na każdym kroku! Reżyserii podjął się więc Ralph Thomas.

Treścią filmu jest miłość między piękną Japonką, wykładającą język japoński oficerom Intelligence Service — a jej uczniem, młodym Anglikiem. Miłość ta zostaje uwięczona ślubem w New Delhi — jednak w tragicznym finale — młoda Japonka umiera.

Kreującą główną rolę kobiecą Yoko Tani przeżyła wiele emocji i przygód w związku z powstawaniem nowego obrazu.

Kilka tygodni spędziła ekipa Ralpa Thomasa w Indiach. Tam też u stóp wzgórz zamieszkanego przez małpy miało miejsce obojętne oswojenie Yoko z

Na ekranach łódzkiej kin fetuje właśnie pierwszych pięć dni swojego sukcesu kolorowy obraz Jerzego Zarzyckiego, pt. „Żołnierz królowej Madagaskaru”. Niestety — nie przysługują mi prawo — przynajmniej mo-

małpami i małp z Yoko — scenariusz przewidywał bowiem przechadzkę aktorki po małpim wzgórz. W ostrości — zwierzęta przyzwyczały się prędko do nowych lokatorów, a szczególnie bacznie obserwowały Yoko. Godzinami stały przy oknie pokoju, kontrolując każdy jej ruch. Nie też dziwnego, że pewnego dnia szyba została wybita a Yoko stwierdziła brak wszystkich szminek, pudrów i perfum. Za to całe wzgórze przez długie dni pachniało nieczym paryski gabinet kosmetyczny.

Jak już wiadomo — parę bohaterów filmu łączy małżeństwo. Ślub wg. panującego w New Delhi zwyczaju, odbył się na słoni. Uśmiech, jakim z grzbiętu tego zwierzęcia obdarza nas piękna Japonka wymagal jednak nie byle jakich kwalifikacji aktorskich. Bowiem biedna Yoko była bliska omdlenia z powodu... choroby morskiej.

Najbliższe plany głównych aktorów filmu przedstawiają się następująco: Yoko Tani została gwiazdą Broadwayu co dla aktorki wykonującej jeszcze przed trzema laty podrzędne role w najmniejszym numerze „Casino de Paris” jest gigantycznym skokiem w karierze. Dirk Bogarde natomiast kręci obecnie film, w którym jego partnerką jest niejednokrotnie przedstawiana już na łamach „Odgłosów” uroczą Leslie Caron.

raine — pisanie recenzji z tego filmu, jako że widziałem „Żołnierza” jedynie do połowy, ściślej — do chwili, gdy Mazurkiewicz (Tadeusz Fijewski) dołbiera się (wzrokiem) do gorsetu p. Anny Lubieńskiej (Kamilla). Spieszę także wyjaśnić, iż bynajmniej nie opuściłem sali zgorzchniętym charakterem scen znalezionych na ekranie, ani też wstrząśnięty jakością artystyczną dzieła. Zaważyły względy najbardziej poboczne i nie mające większego związku z meritum omawianej sprawy.

Wolno mi zapewne rozpatrzeć zasadniczą wątpliwość. Przypuśćmy, że ktoś ogląda (tak jak to mi się zdarzyło) — film do połowy. Ma potem prawo pisać recenzję? Czy nie? Założmy, że dzieło oparte jest na powszechnie znanym i nader popularnym pierwowzorze (tutaj farsa J. Tuwima i St. Dobrzańskiego), a prowadzone z dużą konsekwencją inscenizatorską, przynajmniej w zakresie doboru środków stylistycznych. Recenzent zobaczył już więc wszystkich aktorów a



poznał wszystkie scenerie, względnie ich znakomitą większość. Teraz powinno wystarczyć trochę wyobraźni... chyba, że gdzieś na trzecim kilometrze celulojdu nastąpi z nagłą rewolucją, zmianą zamiarów twórczych, aktorów, statystów i dekoracji. Wtedy recenzent, który widział jedynie ową przedrewolucyjną — gorszą połowę rzeczy, musi, winien, bo jest zobowiązany, milczeć jak przysłowiowa trusia.

Czy takie gwałtowne zmiany są jednak możliwe? Najprawdopodobniej tak — i zapewne z taką właśnie przemianą mamy do czynienia w filmie „Żołnierz królowej Madagaskaru”. Gdy już bo-

wiem zdanie moje o tym obrazie jakoś się ustaliło — wpadł mi zaraz w ręce program do tego filmu (zam. 1488. RSW „Prasa”, Okopowa 58, nakład 40 tys. egz. format A-48), a w programie tym, jak byk, stwierdzenie ktoś pomieścił następujące:

„Film Zarzyckiego posiada wszystkie cechy dobrej komedii muzycznej: scenariusz — w miarę dowcipny, to miarę sentymentalny; piosenki pełne wdzięku i fantazji; melodie lekkie i wpadające w ucho; kulisy dobrze skomponowane. Nie brakuje też ani pięknych strojów, ani pięknych nóg: wozak przesyła państwo, w tym filmie wszyscy i wszędzie tańczą koniemi! Takiego filmu nie mieliśmy od dawna”.

Czyli niewątpliwie — po moim nieopatrzonym wyjściu z kina miała miejsce na ekranie jakaś gwałtowna odmiana, stąd moje uprzednie wrażenia, doznania i osady uważać sobie pozwalam za niebyłe. Ze zdwojoną natężeniem uwagę przykładałem się tedy do rzeczonych programów. Anonimowy autor przypomina, że „ten sam” Jerzy Zarzycki nakręcił „tego samego” („Żołnierza królowej Madagaskaru”) — w roku 1939, a który lepszy (Zarzycki? Żołnierz?) mogą ponoć stwierdzić ci, którym „udało się” tamtą wersję obejrzeć. Warto więc dodać interesujący szczegół. Ze pierwszą wersję filmu Zarzyckiego rozpowszechniali hitlerowcy w okupowanej podówczas Warszawie. A tu — ów dzień widziało się wiedeńskie napisy, że „tylko świnie śledzą w kinie”, jako że wiadomy był cel na który szedł dochód kinowy, a wiadomy był także kształt ideowy wyświetlanych jednocześnie propagandówek. A więc „ci, którym się udało zobaczyć”... fe!

Ten krótki komentarz do „Żołnierza królowej Madagaskaru” nie zamknij — jak przypuszczam, dyskusji, która się wokół tego filmu wywiąże na naszych łamach. Nim to się jednak stanie — odnotowuję na użytek widzów rzecz dosyć bliżą, ale wartą uwagi. Dziwnym zbiegiem okoliczności tak się jakoś stało, że panie występujące w „Żołnierzu” mają głowy osadzone bezpośrednio na ramionach, a jedna tylko Basia Kwiatkowska — nie. Może szedł po tej linii uważny dobór, a może to przypadek? Nie wiem. W każdym razie po zauważeniu tej ciekawostki pobyt na sali kinowej staje się miłszy, a wszelkie sytuacje przynajmniej po trzykroć bardziej dowcipne niż w istocie.



Czy wyobrażasz sobie Szanowny Czytelniku seans kinowy bez kroniki?

Na pewno z trudnością. Czy lubisz naszą kronikę? Z pewnością tak. Wszyscy widzowie polskich kin przywiązali się do Polskiej Kroniki Filmowej, cenią ją i... przepadają za nią. Starają się nie opuszczać kolejnych numerów, wymieniają uwagi, pamiętają „co było”. A przecież to nie jest reguła. Tak się dzieje tylko w Polsce. W innych krajach kronika nie cieszy się takim poważaniem. W Paryżu czy Brukseli raczej omija się „Actualités”, a jeśli seans jest ciągły — (mon stor), oglądanie ich traktuje się jako nudną konieczność.

Polska ma świetną kronikę filmową — żywą, dowcipną, urozmaiconą i zawsze „na czasie”.

Polska ma także świetny film dokumentalny. Tylko że niestety nie ma odbiorców tego filmu. A szkoda, bo w szarym domu na ulicy Chęcińskiej w Warszawie, w wytwórni naszej kroniki i naszych dokumentalnych filmów, ponad 20 reżyserów tworzy lepsze czy gorsze, ale zawsze ambitne prace.

Wystarczy obejrzeć zeszlóroczny spis fil-

mów, aby przekonać się, jak szeroki zakres tematów podejmuje polski film dokumentalny — od reportażu do analiz malarstwa, od publicystyki do intelektualnej satyry, od plakatów do abstrakcji eksperymentalnej. Prawie każdy film WFD unika utartych szablonów. Prawie każdy szuka — jeżeli nie w zagadnieniach, to w sposobie ich pokazania — czegoś nowego, czegoś odkrywczego. Kierownictwo wytwórni nie waha się przed wprowadzeniem najbardziej ryzykownych tematów. Filmy Lenicy i Borowczyka — robione techniką rysunkową i animowaną nie rzadko nie wspólnego z pracą klasycznego dokumentu. Film „Barwy radości i smutku” — o pracach młodych malarzy daleko przekracza ramy reportażu i staje się próbą analizy wartości plastycznych.

Obok filmów dla małej garstki wyrobionych widzów, filmów, które nie mogą przemówić do „ogółu” na obecnym etapie przeciętnej świadomości artystycznej (myślę o

„Domu” Lenicy i Borowczyka, czy „Życie jest piękne” Makarczyńskiego), wytwórnia wypuszcza także około 40 cennych, chociaż iawniejszych filmów przeznaczonych właśnie dla szerokiego widza. Niestety, te filmy tak, że do ogółu nie docierają. Jestem przekonana, że gdyby przeprowadzono ankietę — jakie filmy z zeszlórocznych tytułów znają i pamiętają bywalcy kin — okazałoby się, że trzy czwarte prac poszło zupełnie na marne.

Film dokumentalny nie ma odbiorcy i nie wzbudził dotychczas dostatecznego zainteresowania. Prace warszawskiej wytwórni przeznaczone są marnują, albo nie trafiając na ekrany, albo nękając między kroniką i emocjami filmu fabularnego.

Główną winę za taki stan rzeczy ponosi eksploatacja naszych filmów dokumentalnych i ni — propagowanie ich w prasie. Pisze się tylko o filmach pełno lub średniometrażowych, ewentualnie o nagrodzonych za granicą, natomiast resztę prac pokrywa cisza. W prak-

MAŁY APEL

tyce wygląda tak, że nie ma tytułów filmów krótkometrażowych w programach kin, w codziennych repertuarach prasowych czy reklamowych gablotkach. Filmy pojawiają się przypadkowo, bez żadnego związku z następującym po nich filmem. Tymczasem poza oląkatem na temat najświeższych spraw, który może działać w formie mocnego szoku — istnieje cały szereg innych, wymagających przy odbiorze zaangażowania intelektualnego, dużej przyczyni nastroju, wreszcie zastanowienia i przemyślenia.

Do tego niezbędna jest zapowiedź w programie, przerwa po filmie i wreszcie mała uwaga w prasie, aby widz po seansie przypomniał sobie to co uprzednio zobaczył. Widza trzeba wychowywać. Trzeba go przyzwyczajać do przyjmowania tej galeji filmu. Tym bardziej, że film dokumentalny bardziej niż jakikolwiek inny przeznaczony jest dla szerokiego odbiorcy.

Jeśli nie uznaje się filmu dokumentalnego za odmienną oczywiście, ale równorzędną pozycję repertuaru naszych kin — nie zyskamy dla niego odbiorcy.

LIDIA ZONN